



Jennifer Greene

*Gorący dotyk*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dla Phoebe Schneider najważniejszy w życiu był szacunek. Przez kilka lat pracowała jako wykwalifikowana fizjoterapeutka. Nikt nie zmuszał jej, by została masażystką. Chociaż bardzo wielu mężczyzn uważało, że masażystki są kobietami wyjątkowo łatwymi. Chcieliby!

Miała dwadzieścia osiem lat i dobrze znała życie. Ale kwestia szacunku stanowiła dla niej pewien problem... No, bardzo wielki problem.

Ten dzień był jednym z niewielu, kiedy Phoebe czuła prawdziwą dumę z wykonywanej pracy. I dla takich dni warto było żyć.

Przez okna sali konferencyjnej szpitala „Gold River” widać było w oddali pokryte śniegiem góry. Zimny, lutowy wiatr gwizdał za oknem. Wokół stołu siedzieli główny neurolog oddziału pediatrii, naczelny pediatra i pielęgniarka oddziałowa. Phoebe nie była najmłodsza w tym gronie, ale była tylko masażystką.

Ale, co mile głaskało jej dumę, to jej właśnie wszyscy słuchali w skupieniu. I bardzo dobrze. Wszyscy wiedzieli, że gdy chodziło o dzieci, Phoebe gotowa była walczyć na śmierć i życie.

- Już kiedyś o tym rozmawialiśmy - powiedziała.  
- Uważacie, że to tylko choroba. Patologia. Schorzenie, które musicie wyleczyć. Ale są jeszcze inne możliwości. - Kliknęła przycisk myszki i na ekranie na ścianie pokazał się nowy obraz. Trzymiesięcznego niemowlęcia. - George nie jest chory. George jest zimny.

- Zimny... - Doktor Reynolds chciał jej przerwać.

- Zimny emocjonalnie. - Znow zmieniła obraz. Dzień, kiedy przywieziono dziecko do szpitala. Pielęgniarka wyjmowała George'a z łóżeczka. Rączki i nóżki miał tak sztywne, że przypominał lalkę. - Znać jego historię. Znalaziono go w komórce, na pół zagłodzonego. Jego matka nie była zdolna do żadnych uczuć macierzyńskich. Jest to dziecko, które przyszło na świat tak wrogi, że nie potrafiło znaleźć z nim żadnego związku emocjonalnego.

Pokazała kilka kolejnych slajdów, obrazujących zmiany, jakie zaszły od chwili, kiedy zaczęła pracować z tym dzieckiem, i skończyła prezentację.

- Moim zdaniem, George nie powinien być jeszcze objęty zwykłym postępowaniem adopcyjnym - powiedziała.

- Powszechnie sądzi się, że człowiek instynktownie szuka bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem. Ale sytuacja George'a jest znacznie bardziej złożona. Jeśli chcemy, żeby to małeństwo zdołało tego dokonać, musimy zapewnić mu stały, nieprzerwany kontakt z ciepłym, żywym człowiekiem. Kontakt rozumiany dosłownie. Trzeba sprawić, żeby nauczył się ufać ludziom.

Phoebe dostrzegła powątpiewanie w oczach neurologa. Ale nie zwracała na to uwagi. Wszyscy zebrani najchętniej zapisałiby małemu lekarstwu albo oddali do adopcji, żeby jak najszybciej zakończyć sprawę.

Kiedy Phoebe przyjechała do miasta, nikt nie słyszał o leczeniu masażami dzieci. Ona sama nigdy nie myślała, że zapoczątkuje nową specjalność. Ale to ona pierwsza się odważyła. Odkryła swoje powołanie.

Spotkanie skończyło się przed czwartą. Phoebe wygrała. Dostała zgodę na objęcie małego Georgea kuracją. Chociaż na pewno przypłaciła to zwycięstwo zyskaniem opinii kłótlivej sekutnicy. Nie szkodzi. Mogła spokojnie wrócić do domu i zająć się psami.

Wstała, włożyła zakieł i sięgnęła do torebki po pomadkę. Po długim mówieniu wargi zawsze wysychały jej na wiór. W czeluściach torebki miała z tuzin szminek i pomadek. Ale zależało jej na malinowej.

- Pani Schneider? Phoebe Schneider?

Obróciła się na pięcie. W drzwiach stali dwaj mężczyźni. Na pewno nie byli pracownikami szpitala. Znała wszystkich przystojnych lekarzy.

- Tak, jestem Phoebe Schneider.

Podeszli szybkim krokiem. Byli potężni, muskularni i niezwykle pociągający.

- Panowie do mnie?

- Tak - odezwał się wyższy, w eleganckim garniturze.

- Chcielibyśmy zatrudnić panią do naszego brata.

- Brata - powtórzyła.

- Właśnie - powiedział drugi, w dżinsach i podkoszulku. - Jestem Ben Lockwood. A to jest mój brat, Harry.

- Lockwood? Jak ten od restauracji? - Najlepsza i najbardziej luksusowa restauracja w mieście nazywała się „U Lockwooda”.

Ben, ten elegancki powiedział:

- Tak. To jest restauracja Harryego. W naszej rodzinie to on jest szefem kuchni. Ja jestem budowniczym. Nasz młodszy brat ma na imię Fergus. To właśnie do pomocy jemu chcemy panią zatrudnić.

Phoebe poczuła znajomy skurcz w żołądku. Faceci. Chcą wynająć masażystkę. Dla innego faceta. Dwa dodać dwa zawsze jest cztery.

Nie czekała na ciąg dalszy i ruszyła do wyjścia. Mężczyźni podążyli za nią. Harry chwycił pudełko ze slajdami, które wysunęło się jej spod pachy, kiedy otwierała drzwi.

- Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniliście wcześniej. Numer jest w książce telefonicznej. Już wtedy dowiedzielibyście się, że zajmuję się tylko dziećmi.

- Nie zadzwoniliśmy, bo baliśmy się, że nas spławisz - powiedział otwarcie Ben. - Wiemy, że zajmujesz się małymi dziećmi, ale w szpitalu powiedzieli nam, że jesteś dyplomowaną fizykoterapeutką. Najlepszą, jaką znają. Fox jest w naprawdę wyjątkowej sytuacji. Pomyśleliśmy, że może zechcesz zrobić dla niego wyjątek.

Nie ma mowy. Nigdy. Za nic nie dotknie dorosłego mężczyzny. Nie, to nie był brak odwagi. Ale serce Phoebe

zostało boleśnie rozbite bardzo bliskim związkiem z niewłaściwym mężczyzną. Kiedyś na pewno spróbuje ponownie. Ale na razie było jeszcze zbyt wcześnie.

Tego jednak nie mogła im powiedzieć. Usłyszeli tylko, że miała już zapisanych pacjentów na wiele miesięcy naprzód. Nic to nie dało. Dreptali za nią jak szczenięta, aż na parking.

Kiedy dotarli do jej białej furgonetki, miała wrażenie, że pokochała obu. Wpatrywali się w nią, jakby była boginią. Traktowali, jakby była wielkim bohaterem. Podobało się jej to.

- Ben, Harry... posłuchajcie. W szpitalu wprowadzono was chyba w błąd. Ja nie prowadzę praktyki fizykoterapeutycznej. Nie mam na to czasu. Poza tym, jeśli wasz brat ma jakieś specjalne problemy, nie mam kwalifikacji, żeby mu pomóc.

- No cóż, Foksa oglądali już najwybitniejsi specjaliści. Lekarze. Psychiatrzy. Fizjoterapeuci. Sprowadziliśmy nawet księdza - zażartował Ben. Chociaż nie zdołał zdobyć się na uśmiech. - Musimy spróbować jeszcze czegoś innego. Tracimy brata. Potrzebujemy jakiegoś nowego pomysłu, świeżego spojrzenia. Gdybyś zechciała choćby tylko przyjrzeć się mu...

Podczas tych kilku minut rozmowy Phoebe zorientowała się, że bracia mówili o sobie jako o zwierzętach. Ben był Niedźwiedziem, Harry - Łosiem. Najmłodszego nazywali Fox, czyli Lis.

Uwielbiała zwierzęta. Dzikie i domowe.

A bracia Lockwoodowie bez wątplenia kochali swego brata.

- Szczerze, aż do bólu, mówię wprost, że nie potrafię wam pomóc.

- Chociaż zobacz się z nim.

- Nie mogę.

- Nie wyjaśniliśmy ci jeszcze, co mu się przydarzyło. Wysłuchaj przynajmniej tego. Potem, jeżeli nie będziesz mogła nic zrobić, trudno. Ale chociaż spróbuj.

- Chłopaki. Nie mogę.

- Tylko jedno spotkanie. Kilka minut. Zapłacimy pięćset dolarów za pół godziny, co ty na to? Przysięgam, jeśli później uznasz, że nie możesz mu pomóc, nie zobaczysz nas nigdy więcej. Słowo!

Mój Boże. Phoebe nigdy jeszcze nie spotkała tak upartych ludzi. Ale gdyby zgodziła się zrobić wyjątek, gdyby przyjęła tylko jednego dorosłego pacjenta, nie opędziłaby się od następnych.

- Bardzo mi przykro, ale nie.

Tego samego dnia, o siódmej wieczorem, Phoebe włączyła wsteczny bieg i wyjechała z podjazdu przed swoim domem.

- Nie chcę słyszeć ani słowa, żadnych narzekań - powiedziała do siedzących z tyłu samochodu psów. - Kobieta ma prawo zmienić zdanie.

Ani Mop, ani Duster\* nie zaprotestowały.

\* Gra słów: mop (ang.) - szczotka; duster (ang.) - ścierka

- Tylko trzymajcie się blisko mnie. Jeśli coś będzie nie tak, razem damy nogę. Rozumiecie?

Znowu nie doczekała się odpowiedzi. Nawet po dwóch latach nie całkiem wiedziała, kto kogo właściwie uratował. Dwa kudłate łebki pojawiły się u jej drzwi krótko po tym, jak sprowadziła się do miasteczka. Były brudne, zmęczone i głodne. Wyrzutki. Ale to one ją traktowały, jakby była wyrzutkiem, którym opiekowały się z całego serca.

- Bracia byli w porządku. Wiem, wiem, to są mężczyźni. Jak można im zaufać? Ale naprawdę, wygląda na to, że ich brat jest w strasznym stanie. Nawet jeśli nic nie będę mogła dla niego zrobić, nie mogę przecież nie spróbować.

Psy nadal milczały. Wystawiły pyski przez otwarte okno. Nie zwracały na nią uwagi.

Jechała przez miasto pełna obaw. Uwielbiała swoją pracę. W banku mówili, że daleko jej było do pełnej wypłacalności, ale pieniądze nie były dla niej najważniejsze. Ważniejsze było to, co robiła. Odkryła, że terapia dotykowa dawała u dzieci wspaniałe wyniki. Znalazła swoje powołanie.

Mężczyźni nie byli jej powołaniem.

Owszem, lubiła chłopców. Zawsze tak było. Ale spotkała Alana, zanim postanowiła zostać masażystką. Praktykowała wtedy jako fizykoterapeutka. Cierpliwie zajmowała się ludźmi z połamanyimi kośćmi. Dopóki nie spostrzegła, ile przyjemności dawało jej dotykanie. Alan był tą jej cechą zachwycony.



Tak twierdził.

Powtarzał też stale, że była najgorętszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Brzmiało to nawet jak komplement. Początkowo.

Nerwowo przygryzła paznokiec. Przeprowadziła się do Gold River, żeby oderwać się od tych bolesnych wspomnień i zacząć wszystko od nowa. Przekłęci Lockwoodowie! Zburzyli jej spokój. Nie mogła przestać myśleć o ich bracie.

Wyglądało na to, że ten Fergus wstąpił do armii i wrócił stamtąd niezdolny do służby, poraniony „brudną bombą”. W szpitalu podreperowano go i wypisano do domu. I Ben, i Harry zgodnie przyznali, że początkowo wydawało się, że wszystko jest w porządku. Fergus był słaby, ale zdrowiał pomału. Wszystko zaczęło się psuć, kiedy przyjechał do domu. Rodzina próbowała mu pomóc. Sprowadzali lekarzy i psychiatrów. Lecz Fergus zamknął się w sobie i nikt nie był w stanie do niego dotrzeć.

Bracia usłyszeli o Phoebe od jednego ze znajomych lekarzy. Mówiło się, że ma uzdrawiającą moc w rękach i wspaniałe osiągnięcia w uzdrawianiu dzieci. Była to, oczywiście, gruba przesada. Phoebe nikogo nie mogła uzdrowić. A już na pewno nie kogoś tak poranionego jak Fergus.

Gdy przekonała się, że Lockwoodom naprawdę nie chodziło o seks czy jego namiastkę, jej opór osłabł. Teraz jednak znów opadły ją wątpliwości. Ich brat miał za sobą wyjątkowo ciężkie przejścia. Sądziła, że cierpiał na silny

stres pourazowy. I ze smutkiem musiała powiedzieć sobie samej, że nie miała dość wiedzy i umiejętności, żeby pomóc komukolwiek w takiej sytuacji.

Ale była tak głupia, że nie potrafiła odmówić braciom.

W tym momencie spostrzegła, że na fotelu obok niej nie leży już kartka z wypisanym adresem.

- Psiakrew, Mop! Oddaj to!

Na szczęście udało się jeszcze odczytać numer na tym, co wypluła Mop. Po kilku minutach znalazła się w dzielnicy bogatych. Gdy przejeżdżała przez kutą w żelazie bramę, czuła się jak intruz. Zgodnie z instrukcjami, minęła wielki dom i garaż i zatrzymała się przed znacznie mniejszym, stojącym w głębi budynkiem. Bracia mówili o nim „dom kawalerski”. Nazwa musiała pochodzić sprzed bardzo wielu lat. Zamieszkiwali tam niegdyś młodzi, nieżonaci członkowie rodu. Z daleka od czujnych spojrzeń matek. I tam mieszkał Fergus.

O ile główny dom tonał w światłach, znać było, że był pełen życia, o tyle w całym domu kawalerskim tylko w jednym oknie świeciło się światło. Całość robiła wrażenie straszne i ponure.

Phoebe lubiła opowieści o duchach. Taka atmosfera odpowiadała jej. Poza tym i tak było już za późno, żeby mogła się wycofać.

Nie doszła jeszcze do werandy, gdy światło przed domem się zapaliło. Bracia najwyraźniej oczekiwali jej. Mop i Duster wyskoczyły z samochodu i popędziły ku

stojącym w otwartych drzwiach mężczyznom. Phoebe ruszyła za nimi. Znacznie wolniej.

- Zapłacę ci teraz - powiedział cicho Harry.

- Och, zamknij się - warknęła. - Mówiłam ci, że pięćset dolarów to śmieszne. Nie biorę łapówek. Nie czynię też cudów - dodała.

- Słyszeliśmy coś innego.

- Źle słyszeliście. To nie moja liga. Wasz brat pomyśli, że zwariowaliście i sprowadziliście mu masażystkę. Ja zresztą też tak uważam.

Nie spierali się. Ben gestem zaprosił ją do środka. Psów nie trzeba było zapraszać.

Cała kuchnia zastawiona była talerzami i pojemnikami z jedzeniem. W panującym tam mroku z trudem dostrzegła że wszystkie posiłki zdawały się być nie-  
tknięte.

Kilkoro drzwi z prawej strony wiodło, zapewne, do spiżarni, łazienki i jednej czy dwóch sypialni, Z prawej strony był salon. Zajrzała ostrożnie. Spozregła duży kominek. I usłyszała głuchy pomruk: „Co jest, do diabła!?”

Nietrudno było zgadnąć, że usłyszała Fergususa.

Weszła do środka. Samotna żarówka w nocnej lampce oświetlała urządzone z przepychem wnętrze. Dookoła czuć było zapach kurzu i wczorajszej whisky.

Słyszała za plecami głosy rozmawiających w kuchni braci. Rozejrzała się niepewnie i... zobaczyła. Na wielkiej kanapie ktoś leżał.

W tym momencie coś się stało. Poczowała, że powinna

zmykać gdzie pieprz rośnie. Serce załomotało jej gwałtownie. A hormony rozпалиły krew.

Ale przecież nie musiała się bać. Fergus nie był groźny. Nie zamierzał jej skrzywdzić. W ogóle go nie obchodziła.

Zrobiło się jej go żal. Spodziewała się, że będzie przystojny jak jego bracia. Tymczasem zobaczyła chudzielca wysokiego jak Lincoln. Ciemne oczy miał zapadnięte głęboko. Miał szerokie ramiona, ale ubranie wisiało na nim jak na dragu. Jego bracia dowcipkowali i śmiali bez przerwy. W oczach Fergusa było tyle bólu, że Phoebe zabrakło tchu.

Na wszystkie te obserwacje miała tylko kilka sekund. Zanim się zorientowała, psy wpadły do pokoju i zaczęły łąsić się do niego. Jej obecność zignorował zupełnie.

- Niedźwiedź. Łoś. Zabierzcie ją stąd - powiedział.

Nawet nie podniósł głosu. Ale jego bracia przybiegli natychmiast.

- Spokojnie, Fox. Zaraz przyniesiemy coś do picia. Chcieliśmy tylko porozmawiać...

Być może Fergus był najmłodszy... a na pewno najślabszy... lecz nie było wątpliwości, kto rządził w tej rodzinie.

- Nic z tego. Nie mam pojęcia, co znowu wymyśliliście, ale nic z tego nie będzie. Zabierajcie się stąd. Wszyscy. Zostawcie mnie w spokoju.

Phoebe patrzyła zafascynowana. Kto mógł przypuszczać, że Fox cieszył się takim autorytetem.

Zrobiła jeszcze jeden krok. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że ani razu nie spojrzał na nią. Ani na braci. Zastanawiała się, czy w ogóle widział cokolwiek. Miał zamglone bólem spojrzenie i szarą cerę. Cierpiał. Każde wyszeptane chrapliwie słowo zdawało się zadawać mu kolejną torturę.

A było jeszcze gorzej. Spozrzegła, że jedną dłoń położył na głowie Mop. Jej psy wiedziały. Instynktownie wyczuwały ludzi cierpiących.

I wtedy zrozumiała, czemu w całym domu było tak ciemno. Światło musiało sprawiać mu ból.

I nic już nie mogło jej powstrzymać. Musiała mu pomóc. Nie mogła patrzeć obojętnie na takie cierpienie. Nie, nie musiała się obawiać. Jej reakcja nie dotyczyła mężczyzny. Był tylko cierpiącym człowiekiem.

Zaczęła od wypchnięcia obu braci do kuchni.

- Wy dwaj, wyjdźcie na kilka minut, dobrze? Pozwólcie mi porozmawiać z Fergussem sam na sam. Mop. Duster. Leżeć!

Psy usłuchały natychmiast. Chłopcy nie. Harry-Łoś niepewnie popatrzył na Niedźwiedzia.

- Może pomyliliśmy się - powiedział smutno. - Chyba nie powinniśmy wychodzić...

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała i mocniej popchnęła ich ku drzwiom.

Ale sprawa wcale nie była prosta. Kiedy zostali sami, w salonie zapanowała grobowa cisza. Phoebe zdawało się, że łomotanie jej serca słychać w całej okolicy.

Popatrzyła na leżącego na kanapie Fergusa. Zobaczyła jego gniewne oczy i się uspokoiła.

Phoebe bała się w życiu tylko jednego.

To nie było to.

Bała się miłych, przystojnych mężczyzn. Chłopak tak udreńczony, tak humorzasty nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia. Biedaczysko, nawet nie zdawał sobie sprawy, kogo bracia sprowadzili mu do domu.

scandalous

## ROZDZIAŁ DRUGI

-Fergusie... Nazywam się Phoebe Schneider. Twoi bracia poprosili, żebym tu przyjechała.

Słyszał jej głos, widział ją, zarys jej postaci, lecz wszystko jak przez gęstą mgłę. Patrzenie, słuchanie, nawet oddychanie sprawiało mu ból.

- Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Po prostu, idź sobie.

Czuł coś na piersi. Pies? Raczej dwa. Wilgotny nos obwachiwał jego dłoń. Było to zaskakująco miłe. Wtedy ta kobieta kazała psom odejść.

- Szczerze mówiąc, najchętniej poszłabym sobie, Fergusie. Po pierwsze, wcale nie chciałam tu przyjeżdżać. To czyste szaleństwo, prawda? Czemu miałbyś chcieć widzieć się z kimś obcym, gdy nie czujesz się dobrze? Ale twoi bracia są okropnie uparci. Wmówili sobie, że mogą ci pomóc i nie odpuszczą nam obojgu, jeśli przynajmniej nie spróbuję.

Bóle głowy zawsze wracały wraz ze strzępami wspomnień. Mały ciemnowłosy chłopiec z wielkimi oczami. Zbliża się nieśmiało. Bierze batonik. I wtedy... eksplozja.

Zawsze tak samo. Eksplozja wspomnień i zaraz potem eksplozja bólu. Czasem, tak jak w tym momencie, do-

słownie widział gwiazdy. Jak na ironię, piękne. A w tle słyszał miękki, ciepły głos kobiety. Prawie nie rozumiał słów. Lecz słyszał ją. Wciąż tam była.

Usłyszał szelest, jakby zdejmowanego swetra czy marynarki. I nagle owinęła go chmura zapachu. Kamelie, truskawki i pomarańcze? Jak przez mgłę dostrzegł jeszcze długie ciemnorude włosy.

Kiedy dopadał go taki atak bólu, nigdy nie był pewien, co było rzeczywistością, a co tylko zwidem.

- Nic nie mów, nie trać sił - mówiła cicho. - Ale muszę wiedzieć, co powoduje ten twój ból głowy. Twoi bracia powiedzieli mi, że doznałeś poważnych obrażeń. Czy to były obrażenia głowy albo karku? Czy to one wywołują ból?

Spróbował odpowiedzieć, nie poruszając ustami.

- Nie. To był wybuch „brudnej bomby”. Miałem wiele ran, ale żadnej na karku. Ani na głowie. Cholera! - Zamknął oczy i zacisnął szczęki. - Koniec rozmowy. Idź sobie.

- Zaraz - powiedziała łagodnie. - W takim razie to jest migrena?

Nie odezwał się. Lecz to jej nie powstrzymało.

- Jeśli to jest migrena, lekarze na pewno przepisali ci silne środki przeciwbólowe...

Była uparta, jak poborca podatkowy.

- Mam całe wiadra pigułek - powiedział z trudem. - Ergotamina. Kodeina. Betablokery. Blokery kanałów wapniowych. .. - Każde słowo bolało go jak cięcie nożem. -



Przestałem je brać. Nie pomagają. Tylko przyprawiają o mdłości. To jest jeszcze gorsze.

Z przerażeniem zorientował się, że zbliżyła się jeszcze bardziej. Miała długie cynamonowo-czerwone włosy. I te zapachy... I pełne, zmysłowe usta. Błękitne oczy.

- Odejdź - powiedział. Wyrzuciłby ją, gdyby był w stanie. Gdyby tylko mógł...

Oddaliła się. Usłyszał w oddali dźwięk otwieranych drzwi, przytłumione głosy braci i skrzypnięcie ponownie zamykanych drzwi.

Zapadła cisza. Ale niepokój go nie opuścił. Zacisnął powieki. Starał się nie poruszać, nie myśleć, nawet nie oddychać. Lecz wciąż miał przed oczami buzię chłopca. Dziecko. Bardzo małe. Jak wszystkie, które kiedyś uczył.

Zapadał w ból, coraz głębiej, gdy znów usłyszał jej głos. Znowu tam była. I psy. Jeden oparł mu się na piersi, podtykał łeb pod jego dłoń.

- Leżeć, Mop - rzuciła Phoebe szeptem. I znów pies usłuchał natychmiast. Mówiła cichym głosem, tonem swobodnej pogawędki. - Zwykle pracuję w domu. Psy przyzwyczyły się, że zawsze są ze mną. Czasami zostawiam je same. Mają w drzwiach specjalne przejście i duży, ogrodzony ogród. Ale okropnie nie lubią, kiedy wyjeżdżam. Dlatego kiedy tylko mogę, zabieram je ze sobą.

- Nie. - Miał dość tej paplaniny. Słyszał też krzątanię za sobą. Poczł nowe, niepokojące zapachy. Usłyszał trzask zapalanej zapałki. Po chwili zgasła lampę. Pokój oświetlało teraz tylko kilka świec.

- Zamknij oczy - powiedziała.  
- Nie. Po co? Na Boga, czy mam wstać i wyrzucić cię stąd?

- Fox - powiedziała łagodnie - zamknij te cholerne oczy i przestań kłócić się ze mną. Zamknij się i leż cicho.

Był tak zdumiony, że nawet nie zaprotestował. Nawet strzępy wspomnień uleciały. Spróbował się skoncentrować. Chciał opanować ból i wstać. Domyślił się, że bracia sprowadzili mu jakąś uzdrowicielkę. Ale nie dbał o to. Pragnął tylko, by ból nie nasilił się jeszcze bardziej.

Potrzebował spokoju. Musiał pozbyć się rudowłosej.

- Dosyć już, moja pani. Nie mam pojęcia, co... Och! Och! O Boże!

Dotknęła go.

Była za nim. Nie widział jej. Musiała uklęknąć tuż za nim, bo poczuł jej ręce na głowie. Delikatne palce łagodnie muskały mu skronie i czoło. Miała coś na rękach. Coś śliskiego. Pachnącego jak lody waniliowe.

Otworzył usta. Chciał zaprotestować... Nie dał rady. Chociaż naprawdę bardzo chciał. Zdołał tylko jęknąć głucho. Słabo i cicho.

A jej palce masowały nieustannie każdy kawałek jego głowy. Miała miękkie opuszki. Wcierała mu śliską substancję we włosy.

- Nie mogę wyleczyć cię z migreny - powiedziała cicho. - Ale jeśli zdołamy sprawić, że rozluźnisz się, zre-laksujesz, uśniesz. Jesteś potwornie spięty z bólu i to tylko pogarsza sprawę. Ale bardzo mi trudno pracować nad

tobą, kiedy leżysz na kanapie. Gdybyś tylko uniósł się trochę, oparcie nie przeszkadzałoby mi tak bardzo, byłoby mi łatwiej...

Przestał jej słuchać. Nie mógł jej słuchać. Bez reszty pochłoneńto go odczuwanie.

Nie była w stanie przesunąć go, podnieść. Był dwa razy większy od niej. Ale jakimś cudem sprawiła, że poduszka spod jego głowy zniknęła. Miała teraz lepszy dostęp do niego. Zaczęła masować mu głowę za uszami. Potem kark

Przerwała na moment. Nałożyła na dłonie nową porcję pachnącej substancji.

Im dłużej masowała, tym mocniejsze czuł... podniecenie. Nie mógł wyjść ze zdumienia.

A do tego ból zdawał się ustępować.

Z każdą chwilą czuł coraz większą ulgę.

Wtedy zaczęła nucić cichutko. *Summertime*. Słyszał... czuł każdym nerwem jej łagodny głos.

Jej palce, jak skrzydła motyla, muskały jego opuszczone powieki. Głaskała go po policzkach. Pukała, masowała.

Nagle stwardniał. To było jak narodziny Feniksa. Żaden mężczyzna nie dozna wzdrodu, mając taką migrenę.

To było niebywałe. Jeszcze nigdy w życiu żadna kobieta nie dotykała go w taki sposób.

To było przerażające.

Odkąd wrócił z Bliskiego Wschodu, unikał ludzi. Jego życie zmieniło się radykalnie. I pragnął jedynie tego, by wszyscy zostawili go w spokoju. Ona też!

Miał wrażenie, że zapada się, coraz głębiej i głębiej. Wskutek jej zaklęć. Niech schowają się wszyscy doktorzy, profesorowie. Nikt nie potrafił dokonać tego, co ona.

Miał zamknięte oczy. Czuł, że nadchodzi sen. Najprawdziwszy sen. Nie taki, z którego budził się po godzinie, zlany zimnym, grubym potem. Z walącym sercem. I z obrazem małej twarzyczki przed oczami. Zapadał w sen głęboki, spokojny...

Kiedy Phoebe zdmuchnęła świecę, Mop i Duster uniosły głowy. Odczekała chwilę, żeby jej oczy przywykły do mroku i pozbierała swoje rzeczy. Na palcach wyszła z pokoju.

Ben i Harry czekali na werandzie.

- Niech mnie diabli! Nie zabił cię - rzucił Ben.

- Zasnął - powiedziała.

Bracia z niedowierzaniem pokręcili głowami.

- Nie do wiary. On nigdy nie spał. To jeden z jego problemów... Był taki gburowaty, bo nigdy nie mógł odpocząć.

- Teraz będzie spał. Mam nadzieję, że dosyć długo. - Odetchnęła głęboko. Nie wiedziała, jak długo była wewnątrz. Ale niebo nad jej głową było czarne jak aksamit. Psy popędziły przed siebie i zniknęły w ciemnościach.

Jak zawsze po intensywnych zabiegach, ręce jej drżały. Ale tym razem, wiedziała to doskonale, była jeszcze inna przyczyna. Denerwowało ją to. Bracia Lockwoodowie wpatrywali się w nią, jakby była boginią.

- Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego - powiedziała. -

Nie potrafię wyleczyć z migreny. Najlepsze, co można zrobić dla takich ludzi, to sprawić, żeby zasnęli. Za wszelką cenę. Każdy mógłby to zrobić.

- Ale nikomu się nie udało. Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie tych wszystkich ludzi, którzy...

Nie zamierzała spierać się z nimi. Nie po takim długim, męczącym dniu. Kolana bolały ją od długiego kłęczenia przy Foksie. A ręce... Wciąż go czuły.

- Jestem przekonana, że kiedy się obudzi, będzie w znacznie lepszej formie. Czy on mieszka tu sam?

- Tak. - Harry wskazał wielki dom obok. - Od śmierci taty mama mieszka tam. My wyprowadziliśmy się, kiedy tylko dorośliśmy. Ben mieszka poza miastem, a ja nad restauracją. Przez lata dom kawalerski stał pusty. Kiedy Fox szedł do wojska, zwolnił swoje mieszkanie. Nie miało sensu płacenie czynszu, skoro zaciągnął się na kilka lat. Kiedy wrócił, kompletnie rozbity, dom kawalerski wydawał się najlepszym rozwiązaniem.

- Przez ostatnie dwa miesiące staraliśmy się być przy nim jak najbliżej - dodał Ben. - Ale Fergus nie zgodził się, żeby ktokolwiek zamieszkał wraz z nim.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że go uspiłśś - powiedział Harry.

- Nieprawda. - Wpatrywali się w nią, jakby była aniołem. Było to nawet zabawne, ale na dłuższą metę nie do zniesienia. - Po prostu znalazłam się tutaj we właściwym momencie. Był najprawdopodobniej po kolejnym ataku bólu, gotów do snu.

- Akurat! - rzucił Ben pojednawczym tonem.  
- Mniejsza z tym. Nie wrócę tu więcej, nawet o tym nie myślę. Dał jasno i wyraźnie do zrozumienia, że nie ży-  
czy sobie tego.

- Ale przyjedziesz, jeśli sam poprosi?

- Nie poprosi. - Otworzyła drzwi furgonetki i zagoniła psy do środka.

- Ale jeśli poprosi...

- No, wtedy... być może. Jeśli będę miała czas. Jeśli będę pewna, że to on poprosił, a nie wy zmusiliście go do tego. - Zanurzyła rękę w torebce w poszukiwaniu kluczyków. Nie, to nie była wielka torebka. Ale z tym, co w niej miała na wszelki wypadek, w Europie przetrwałaby zapewne pół roku. Znalazła je w końcu i uniosła głowę. Dwaj olbrzymi pochylali się ku niej, uśmiechnięci od ucha do ucha. Zanim zdążyła ich powstrzymać, cmoknęli ją w policzki.

- Dzięki, Phoebe. Kochamy cię.

Zarumieniła się.

- Chłopaki... - Urwała. Pokręciła głową i wsiadła do auta.

Wciąż nie mogła pozbyć się niezwykłego napięcia. Bolały ją wszystkie mięśnie. Serce biło nierówno.

To tamte dotknięcia. Były pełne erotyzmu. Nie mogła pomóc komuś, sama nie reagując. W przypadku Fergusza zareagowała podnieceniem.

Ale przecież to nic takiego. Nic, czego powinna się obawiać.

- Prawda, dziewczynki? - spytała psy.

Psy popatrzyły na nią uspokajająco. Jakby to ona wymagała pomocy.

To przez Alana. To on sprawił, że czuła się jak dziwka. Niemoralna. Rozwiązała. Jakby seksualność i wrażliwość były jej największymi wadami. Wiedziała, że to były brednie. Wiedziała, ale poczucie krzywdy byłoby silniejsze od rozumu.

Całym sercem i duszą wierzyła, że dotyk jest najpotężniejszym zmysłem. Każdy nań reagował. Ludzie mogą żyć w głodzie, bez snu. Potrafią znieść wiele.

Ale ludzie, którzy długo żyją bez dotknięć, zdają się tracić część siebie.

Phoebe doskonale wiedziała, że samo dotknięcie nie może uzdrowić. Ale może sprawić, że ciało będzie chciało uzdrowić samo siebie. Trzeba tylko mu pomóc odpocząć. Przypomnieć duszy zagubione fragmenty. Pragnienie odnalezienia kogoś, z kim będzie możliwy kontakt emocjonalny.

Skreśliła na podjazd. Zaraz za neonem:

## „KOCHAJ DZIECI”

Phoebe Schneider, dyplomowana fizjoterapeutka.

Lecznicy masaży dzieci.

Zaparkowała przed domem i wyłączyła silnik. Neon miał rację. Powinna przestać myśleć o Fergusie Lockwoodzie jak o mężczyźnie. Powinna myśleć o nim tak,

jak myślała o wszystkich dzieciach, którymi zajmowała się na co dzień.

Jego los poruszył ją bardzo. Wyraźnie widziała, jak fatalnie działało nań życie w odosobnieniu. Z dala od ludzi. Od kontaktów z nimi. Rozpaczliwie potrzebował dotyku. Dlatego tak wspaniale zareagował na jej zabiegi.

A to oznaczało, że wcale nie zareagował tak, bo była kobietą.

Wysiadła z samochodu i wypuściła psy.

-I taka jest sprawa, dziewczynki - powiedziała. - Na pewno więcej nie zadzwoni. Ale gdyby jednak... damy sobie radę. Będziemy tylko myśleć o nim jak o jednym z naszych dzieci.

Weszła do domu. Włączyła światło. Odłożyła torebkę. A w pamięci stale miała muskularne ramiona, delikatną ciepłą skórę i ciemne płonące oczy. Przełknęła z trudem. Dzieci.

W niedzielne przedpołudnie, jak zawsze, pojechała do domu starców. O Fergusie zapomniała zupełnie.

Od gór wiał silny, chłodny wiatr. W takie poranki marzyła o tym, żeby zawinąć się w koc z psami u boku, z książką, słodyczami i kubkiem gorącej czekolady.

Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy Fergus byłby zauroczony takim cudnym porankiem.

Niedźwiedź i Łoś opowiedzieli jej, że dolegało mu znacznie więcej niż tylko przeraźliwe bóle głowy. Od dwóch miesięcy, od powrotu ze szpitala, zamknął się



w odosobnieniu. Nie widywał się z nikim. Nie odpowiadał na telefony. Nie robił nic.

Nie wiedziała, czym zajmował się niegdyś. Jak żył, jakie miał zainteresowania. Może miało to jakiś związek z jego depresją? Może tylko przejścia z wojska? Trudno pomóc komuś, gdy wie się o nim tak niewiele.

Oczywiście, gdyby miała zamiar zajmować się nim. A nie miała.

W ogóle o nim nie myślała.

- Cześć, Phoebe!

- Cześć przystojniaku.

Rytuał. Zawsze tak wyglądało powitanie w domu starców. Zawsze tak witano tam ją i jej psy. Kiedyś dyrektor przekonał ją w jakiś sposób, żeby poświęciła trochę czasu ludziom starszym. Nie tylko dzieciom. A ona nie umiała odmówić.

Barney, którego nazwała przystojniakiem, miał dziewięćdziesiąt trzy lata. Był chudy jak szczapa i miał wielką białą czuprynę. Poruszał się wsparty na balkoniku i nie mógł powstrzymać drżenia rąk. Psy witały go zawsze z taką samą radością, jak i Phoebe. Ostrożnie poklepała go po ramieniu

- Wyglądasz tak wspaniale - szepnęła - że mogłabym uciec stąd z tobą i przeżyć małą, namiętą przygodę.

- A niech cię! Jesteś młoda i piękna...

- A ty nie? - Wysoko uniosła brwi i poklepała go po pośladku. Co bardzo lubił.

W zachodnim skrzydle było znacznie gorzej. Zawsze

tam zaczynała. Pacjentów nie odwiedzał tam chyba nikt prócz pielęgniarek. A personel nie miał czasu na okazywanie uczuć i delikatności.

Mop i Duster miały pozwolenie odwiedzania chorych. Właściwie, zachęcano je. Nawet chorzy cierpiący na chorobę Alzheimera z radością wyciągali ręce, żeby je pogłaskać. A Phoebe masowała im karki i ramiona. Głaskała po policzkach. Poklepywała po rękach. Niektórzy nie reagovali. Ale nie wszyscy.

Po godzinie przechodziła do skrzydła wschodniego. Tam dla odmiany było gwarnie i pełno ruchu. Pensjonariusze tarłosili psy, gadali jak najęci, kłócili się albo opowiadali o swoich doległościach.

Phoebe uwielbiała ich. Dzięki nim czuła się bardzo potrzebna.

A dyrektor nieustannie zachęcał ją do częstszych odwiedzin. Wciąż powtarzał, że jej wizyty dodają pacjentom zdrowia i ducha.

Był to, rzecz jasna, nonsens. Ale przez kilka następnych godzin była zajęta bardziej niż jednoręki bandyta w kasynie.

I znowu przypomniał się jej Fergus. Znowu czuła pod palcami skórę jego głowy. Jego krótkie włosy. Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy wreszcie poczuła, jak zaczęło ustępować jego napięcie. Jak rozluźniły się mu mięśnie. A z oczu zniknęły cienie bólu.

- Jak to możliwe, że nie złapał cię jeszcze żaden miły mężczyzna? - Martha zawsze zadawała jej to pytanie. -

Nie mogę tego zrozumieć. Jesteś taka urocza, masz wspaniałe włosy...

- Kiedyś wyjdę za mąż. - Odpowiedziała, też jak zawsze. - Na szczęście, na razie zdołałam uciec przed tym strasznym losem, przyjeżdżając do tego miasta.

- Nie zawsze będziesz tak mówić - powiedziała Martha. - Po prostu, to nie był ten właściwy. Ale to wszystko nie ma sensu. Mężczyźni powinni dobijać się do twych drzwi.

- Nie. Myślę, że wszyscy uważają, że jestem gadatliwa i despotyczna. Same tylko ze mną kłopoty.

Gus, który jak zwykle wpatrywał się w telewizor, głaszcząc psy, powiedział:

- Ożenię się z tobą, Phoebe. Dostaniesz wszystkie moje pieniądze.

- Pewnego dnia wyjdę za ciebie z miłości, cukierczku. Nie chcę twoich pieniędzy.

- Ktoś taki jak ty powinien chcieć więcej. W dzisiejszym świecie nie da się przeżyć bez odrobiny egoizmu. Powinnaś zadbać przede wszystkim o siebie.

Zabawne, jak łatwo można oszukiwać ludzi, pomyślała Phoebe. Nigdy nie wykonywałaby tej pracy, gdyby nie czerpała z niej z nawiązką. Bo tak naprawdę była samolubna i chciwa i zawsze siebie stawiała na pierwszym miejscu. I udowodniła to, kiedy w drodze powrotnej do domu w samochodzie zadzwonił telefon komórkowy. To był Harry Lockwood.

- Czy mogłabyś znowu przyjechać do Fergusa?

- Nie.

- Prosił o to.

Nie uwierzyła.

-Jeśli Fergus sam do mnie zadzwoni, umówię się z nim. Jest niedzielny wieczór. Nie jadłam jeszcze obiadu. Muszę umyć włosy, przygotować się do pracy na następny tydzień, obrządzić psy. Niedzielne wieczory są święte, nie wiesz o tym?

- Chodzi ci o włosy?

- Nie. Chodzi o to, że nie wierzę, że twój brat prosił, żebym przyjechała.

- W porządku. - Rozłączył się.

Dojeżdżała już do domu, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

- Phoebe? Czy powiedziałem ci, kiedy widzieliśmy się ostatnio, że kocham cię bez pamięci?

Roześmiała się. Rozpoznała głos Bena.

- Przysięgam, obaj jesteście do cna zepsuci. Odpowiedź brzmi: nie. Zdecydowanie nie. Nie przyjadę do Fergusa, dopóki sam mnie o to nie poprosi.

Jakby w ogóle jej nie słuchał, Ben ciągnął dalej:

- Nigdy nie paliłem się do żeniaczki, dopóki nie poznałem ciebie. Zawsze byłem skłonny do zabawy. Ale twój tyłeczek jest najpiękniejszy...

Potrząsnęła głową.

- To było nieczyste zagranie - powiedziała.

- Musimy grać nieczysto, Phoebe. Fox jest w prawdziwych tarapatach. Przez kilka dni po twojej wizycie

miał się całkiem nieźle. Ale teraz znowu jest źle. Myślę, że przez ostatnie dwie doby prawie nie spał. Gdybyś była znała go wcześniej... Zanim to się stało. Fergus zawsze był pełen energii. Wciąż miał jakieś szalone pomysły. Wszystko go interesowało. Uprawiał sport. Miał zainteresowania. Uwielbiał życie wśród ludzi. No i dzieciaki. Kochał je wprost. Nawet nie wiesz, jak wspaniale radził sobie z nimi. A teraz siedzi w ciemnym pokoju, nic nie robi, niczego nie pragnie...

- Daj spokój, Ben. Skoro wy, bracia, jesteście tak żywi, a on nie chce was słuchać, czemu miałyby posłuchać mnie? Nie mogę tak po prostu przyjechać i zmusić go do czegokolwiek...

- Już raz to zrobiłaś.

- Miał wcześniej tak potworny ból głowy, że diabłu oddałby duszę za odrobinę ulgi.

- Z diabłem też już próbowaliśmy. Próbowaliśmy wszystkiego. Tylko tobie udało się choć trochę złagodzić ten jego ból. - Ben odchrząknął. - Harry powiedział, że musisz umyć włosy.

Znała ten ton. „Zrozumiem ten idiotyczny, kobiecy sposób myślenia”. Mężczyźni!

- Harry wspomniał też, że mogłabyś zażyczyć sobie darmowe obiady przez cały rok. Pomyślałem też... Nie wiem, gdzie mieszkasz... Ale mówiłem ci, że jestem budowlancem. Nie spotkałem jeszcze kobiety, która nie chciałaby mieć wyremontowanej kuchni...

- Dajże spokój! To głupie.

- A kiedy będę remontował twoją kuchnię, ty mogła-  
byś jeść obiady w restauracji Harry'ego...
- Stop! Ani słowa więcej!
- Czy to znaczy, że przyjedziesz?

scandalous

## ROZDZIAŁ TRZECI

Z zaciśniętymi powiekami, całkowicie nieruchomo, Fox stał pod gorącym prysznicem.

Być może potrafiłby zrezygnować ze spania i jedzenia. Może mógłby obejść się bez miłości i pieniędzy. Ale za nic nie oddałby codziennej, często kilkakrotnej, kąpieli.

Nadal, po tylu tygodniach, wciąż wychodziły z niego odłamki. Lekarze mówili, że w przypadku brudnych bomb to normalne. Co jakiś czas coś nowego pojawiało się tuż pod skórą. Początkowo przerażało go to. Później już tylko dziwował się, czego też terroryści używali do wypełniania swoich ładunków. Czego tam nie było! Kawałki plastiku. Spinki do włosów. Spinacze. Wszystko.

Czasami bolało. Czasami nie. Czasem zostawała bliźna, a czasem nie. Zwykle Fox czuł tylko ulgę, że odłamki ominęły jego twarz. Chociaż z drugiej strony, Bogu dziękował, że los zachował mu w zdrowiu wyposażenie poniżej pasa.

Jego obsesyjne zamiłowanie do kąpieli wynikało z lęku przed zakażeniem. Nie bał się śmierci. Ale na myśl, że musiałby znowu znaleźć się w szpitalu, ciarki go przechodziły.

Kiedy woda zrobiła się chłodna, po omacku zaczął szukać ręcznika. Poruszał się z wielką ostrożnością. Czasami lewa noga odmawiała mu posłuszeństwa. Złamania właściwie zrosły się, ale bywały chwile, kiedy zupełnie tracił oparcie.

Tego wieczoru, na szczęście, wszystko było w porządku. Ale obawa była silniejsza.

Wyszedł spod prysznica, trzęsąc się i dygocąc, jak starzec. Znów pod powiekami zobaczył dziecięcą twarzyczkę. Płynęła przez pokój, jak we mgle. Chwilami chłopiec stawał się jednym z jego uczniów.

Oparł się o szklane drzwi kabiny i starał się uspokoić oddech.

Ból głowy nadchodził. Zawsze zapowiadały go obrazy tamtego chłopca. Musiał szybko wydostać się z łazienki, zanim ból stanie się nie do zniesienia.

Nagle coś usłyszał. Odgłos otwieranych drzwi? Czyżby Harry przyniósł kolejną porcję posiłków, których on nie był w stanie zjeść? Mniejsza z tym. Oparł dłonie na kolanach. Zbierał siły do wyjścia. Zrobiło mu się zimno. Z włosów spływały mu po plecach zimne strugi. Ręcznik. Gdzieś tu powinien być. Zaraz go znajdzie. Już za chwilę.

- Fergus?

To był głos Niedźwiedzia. Ben, nie Harry.

- Tutaj. - Miał nadzieję, że brat nie zostanie długo. Był taki cholernie opiekuńczy.

- Fox?



- Tu jestem - powtórzył słabo.

Zmusił się do podniesienia ręcznika. Wyprostował się tak szybko, jak mógł. Niedźwiedź nie musiał widzieć, w jakim był stanie.

- Cześć, Fox, przyprowadziłem...

O! Spodziewał się, że w drzwiach stanie jego brat. Ale on miał prawie dwa metry wzrostu. Tymczasem przybysz miał długie do pasa, rude włosy. Błękitne oczy. Lekko piegowaty nos i delikatne, pełne usta.

Przypomniał sobie te usta. Tak naprawdę, pamiętał każdy szczegół tej postaci. Wcale tego nie chciał. Lecz nie mógł jej zapomnieć.

Bóg wie dlaczego. Przecież nie była aniołem.

Jak wtedy, miała na sobie czerwoną bluzkę. I dzinsy, które musiała kupić na stoisku dla chłopców. A do tego buty na niewiarygodnie wysokich obcasach. Jak w ogóle mogła chodzić?

Wszystko to zobaczył jednym rzutem oka. Jeden rzut oka wystarczył, żeby zakręciło mu się w głowie.

To spotkanie najwyraźniej zaskoczyło ją. Bez wątpienia szła do salonu. Nie spodziewała się zobaczyć go w drzwiach łazienki. Gołego jak święty turecki.

Ich spojrzenia, się spotkały. Spuściła oczy. I podniosła jeszcze szybciej.

- O cholera! Psiakrew! Niech to diabli! - powiedział Niedźwiedź. - Phoebe, Fox, przepraszam. Fox, powinienem był uprzedzić cię, że przyjadę z Phoebe... Nie słyszałem prysznic. Myślałem, że jesteś w salonie...

Fox pomału zawiązał się ręcznikiem. I tak nie zdołałby ukryć wszystkich blizn i ran. Poza tym gdyby spróbował poruszyć się zbyt gwałtownie, upadłby na nos.

- Do cholery! Czy prosiłem o fizjoterapeutkę?

- Daj spokój, Fox. Przecież mówiłem ci, że ją przywiozę. Poza tym ona jest bardziej masażystką niż terapeutką.

- Och! No tak. Teraz sobie przypominam. - Spojrzał prosto w jej wielkie jak spodki oczy. - Wszystko jest w porządku. Możesz wracać do domu. Ta część mojego ciała na pewno jest w porządku.

Westchnęła. Ale nie zdawała się urażona. Raczej rozbawiona.

- Seks byłby zapewne najlepszym lekarstwem dla ciebie, ale masz pecha. Nie mam w tym doświadczenia. Znam się za to na refleksologii, masażu szwedzkim, tajskim, chińskim, japońskim, PNTN...

- PNTN?

- Proprioceptywne Nerwowo-mięśniowe Torowanie Neurofizji.

- Daj spokój. Wróćmy do sedna. Dlaczego nie masz doświadczenia w seksie?

- Widzę, że jesteś dzisiaj znacznie bardziej frywolny.

Już od bardzo dawna nic nie sprawiło mu takiej przyjemności, jak jej słowa.

Nie mógł jednak opanować ciekawości.

- Dlaczego, mając taką wiedzę i umiejętności, rzuciłaś je i zajęłaś się masażem?

- Żebym mogła dotykać nagich mężczyzn. Coś jeszcze?

Za jej plecami Ben dawał mu rozpaczliwie jakieś znaki. Fergus zignorował go. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Nie, nie zrobiła na nim jakiegoś szczególnego wrażenia. Nie była w jego typie. Nie miała dużego biustu i pośladków. Ale była taka... pełna wigoru. Skąd mógł przypuszczać, że roześmieje się, kiedy próbował ją obrazić. Będzie musiał postarać się jeszcze bardziej.

- Myślę, że mogłabyś dotykać wystarczająco wielu nagich mężczyzn, żeby dać spokój tym, którzy tego nie chcą.

- Masz rację. Sprawienie, by mężczyzna rozebrał się jest dziecinnie proste. Ale łatwi chłopcy nie kręcą mnie. Lubię wyzwania.

- Wyzwaniem dla ciebie jest nachodzenie domu faceta, który tego sobie nie życzy.

Powinna była się bronić. Protestować. Ale powiedziała tylko:

- Zwykle nie. Ale tym razem robię wyjątek. Bo jesteś tak pociągający, że zrobię wszystko, żeby móc cię dotykać. Co mam powiedzieć? Naprawdę rozpałiłeś mnie, słodziutki.

Zaniemówił. Oczy zrobiły mu się wąskie jak szparki. Nikt, absolutnie nikt przedtem nie wprawił go w takie osłupienie.

- Nie spodziewałem się po tobie czegoś takiego - bąknął.

- A to czemu?
- Przecież widać, że nie jesteś zbyt... frywolna.

Natychmiast pożałował tego, co powiedział. Ale cóż. Stało się.

Wsparła na biodrach zaciśnięte pięści.

- Skąd możesz wiedzieć, czy jestem frywolna?!
- Dobrze, dobrze. Masz rację. Nie znam cię aż tak. Ale gotów jestem postawić dwadzieścia dolców, że żyjesz w celibacie już co najmniej rok.

W krótkim jak błyskawica spojrzeniu zdradziła mu całą prawdę. Naprawdę żyła w celibacie.

- Skoro chcesz wiedzieć - powiedziała - jestem szczęśliwą mężatką i trzy razy w tygodniu uprawiam seks z moim ukochanym.

- Tak? Jesteś mężatką?

Przewróciła oczami.

- Nie, nie jestem mężatką... Ale sypiam z dziesięcioma mężczyznami tygodniowo... Chociaż nic ci do tego. Jak mogliśmy tak bardzo odejść od tematu. A tematem jest, Foksie, czy chcesz kolejnego masażu głowy? Nadchodzi kolejny atak migreny, prawda?

Psiakrew! Już miał wrażenie, że gigantyczne trzęsienie ziemi rozsadza mu czaszkę. A przecież niemal o nim zapomniał. Stał przed nią, zawinięty tylko w ręcznik i miał wrażenie, że dawne życie nieśmiało puka do jego serca.

A wszystko przez nią.

Porzucił zaczepny ton i powiedział cicho:

- Masz rację. Nadchodzi kolejny atak. Ale nie potrzebuję niczyjej pomocy. - Odwrócił się do brata. - Niedźwiedziu, zabierz ją stąd.

Sam nie wiedział, czemu tak właśnie postąpił. Lecz wciąż miał wrażenie, że Phoebe wcale nie była taka twarda i pewna siebie, za jaką chciała uchodzić. Kiedy była u niego poprzednio, powiedziała coś, co dało mu wiele do myślenia. Brzmiało to mniej więcej tak: „Nie musisz obawiać się mnie, Foksie. Nikt nie musi się mnie bać”. Dziwne.

Czyżby to ona potrzebowała opieki i ochrony? Jego opieki? Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Bez słowa poszedł do swojego pokoju.

Nikt go nie zatrzymał. Nikt nie zawołał za nim. Czuł, jak bardzo wstrętne się zachował. Bo przecież było w niej coś, co naprawdę go poruszyło. Do głębi. Problem był dziwny. .. Ale łatwy do rozwiązania.

Musiał tylko trzymać się od niej z daleka. Bułka z masłem.

Stukanie do drzwi nie zaskoczyło Phoebe. W sobotnie poranki prawie wszyscy sąsiedzi zjawiali się u niej. Wprowadziła ten obyczaj zaraz po przyjeździe do miasta. Zastosowała sztuczkę, której nauczyła ją mama. Postawiła na werandzie świeżo upieczone ciasto migdałowe.

Wystarczyło. Zapach zwabił nawet najbardziej nieśmiałych mieszkańców okolicy. I tak już zostało. Zwykle jednak goście nie zjawiali się przed ósmą. Włosy miała

w nieładzie, stopy bose. I nadal miała na sobie frotowe szorty i bluzkę.

- Cześć, Phoebe. - To był Gary.

- Cześć. Mary jeszcze śpi?

- Tak. Kiedy poprzednio była w ciąży, było tak samo.

- Zakręcił się i po chwili zjadał kawałek ciasta. Fred, inny sąsiad, siedział już przy stole. Zawsze zjawiał się pierwszy, kiedy tylko poczuł aromat wyjmowanego z piekarnika ciasta.

- Poparzysz się - powiedziała do Gary'ego, który nawet nie wziął sobie talerzyka.

-Niemożliwe.

Phoebe nalała im kawy do filiżanek i wróciła do przerwanej zajęcia. Kroiła sobie grejfruta. Choć jej popisowym numerem było ciasto migdałowe, sama wolała grejfruta. Przyjaciele nie raz żartowali sobie z niej z tego powodu.

Drzwi się otworzyły.

- Witaj, kochanie - zawołała Barb. Nie minęła sekunda, gdy już mocowała się z Garym o kawałek ciasta. - Dawaj. Boże, zjadłeś już kawałek. Jak można być tak łakomym?

Phoebe spokojnie zajmowała się owocem. Dzięki sąsiadom mogła zapomnieć o własnych problemach. Tego dnia po raz pierwszy nie myślała o Fergusie.

- Co nowego? - spytała Barbara. Wywalczyła kawałek ciasta, nalała sobie kawy i wyszła z kuchni.

- Nic - odpowiedziała Phoebe.

- Niemożliwe. Na pewno coś się znajdzie. - Po chwili Barbara zawołała: - Psiakrew! Posprzątałaś!

- Nie. - Phoebe poczuła się urażona takim podejrzeniem.

- Właśnie że tak. Nie ma kurzu.

Posprzątała przez tego przekłętego mężczyznę. A to nie to samo co zwyczajne sprzątanie, prawda? Musiała zająć się czymś, odegnać natrętne myśli.

- O mój Boże! - Z głębi domu usłyszeli krzyk Barbary.  
- A cóż to za budowlę tu zaczęłaś?

- Co? Co? - Gary i Fred zerwali się na równe nogi.

Phoebe westchnęła ciężko. Sama sobie dziwiła się, że wytrzymywała z tak hałaśliwymi i ciekawskimi sąsiadami. Cokolwiek robiła w domu, wzbudzało ich gwałtowny entuzjazm i zaciekawienie. Mieli ją trochę za ekscentryczną artystkę.

Tymczasem prawda była inna. Bardziej przyziemna. Kupiła ten dom, bo na inny nie było jej stać. No i stał blisko centrum. Ale wymagał solidnego remontu. Okien nie uszczelniano od wieków. Podjazd był zarośnięty jak dziewicza dżungla. Kiedy jednak spróbowała tłumaczyć sąsiadom, że tak właśnie lubi, ktoś pożyczył jej kosiarkę do trawy.

Dużo bardziej interesowało ich to, co robiła wewnątrz domu. Od początku wiedziała, że na urządzenie domu potrzebne są miliony. Ale nie miała milionów. Nie miała nawet mebli. Pojechała więc do supermarketu i nakupiła farb. Dużo farb.

Szafki w kuchni pomalowała na zielono, ściany na błękitno. Za kuchnią była jadalnia, którą przerobiła na swój gabinet. Pomalowała go kolorem lawendy. Dalej był salon - żółty. W rezultacie każdy pokój miał ściany w innym kolorze.

W niektórych pojawiły się nawet meble.

Z tyłu domu, skąd krzyczała Barbara, Phoebe urządziła swoje miejsce pracy. Klienci - zwykle matki - wchodzili tylnymi drzwiami.

Północną ścianę zajmowała łazienka i przebieralnia. Na środku dużego pomieszczenia znajdowało się stanowisko pracy. Były tam szafki, zlew, wanna i stoły do masażu. Wszystko białe.

Teraz jednak wszędzie leżały worki z cementem, stopy kamieni i paczki z rurami, zaworami i złączkami hydraulicznymi. Na wierzchu leżał wielki młot. Z tym zakupem chyba odrobinę przesadziła.

- Co to ma, na Boga, być, dziewczyno? - spytał Gary.

Jak miała wyjaśnić im, że wszystko to z powodu jednego mężczyzny. Wysprzątała cały dom, żeby o nim nie myśleć. Nie pomogło. Musiała więc wymyślić coś, co zajęłoby jej myśli.

- Zamierzam zbudować wodospad - powiedziała.

- Wodospad - powtórzyła Barb. - Kochanie, czy wiesz, na co się porywasz? Wodospad? W domu?

- Zaraz. Poczekaj. To tylko brzmi tak nieprawdopodobnie. Widziałam coś takiego w pewnym piśmie... - Widziała wszystko oczami wyobraźni. W południowym



kację mała kaskada, na wysokości prysznic. Z ciepłą wodą spływającą do niewielkiego basenu poniżej, otoczonego tropikalną roślinnością. - Wnętrze wyłożę kafelkami, z zewnątrz położę kamienie. Wszystko będzie jak prawdziwe. Będą mogły korzystać z niego dzieci, będę mogła siadać tam z nimi. Albo ich rodzice. Niewiele będzie się to różnić od zwykłej wanny z gorącą wodą, ale będzie bardziej... zmysłowe. Bardziej naturalne. Kojać.

Gary i Fred wyciągnęli worek cementu i kilka kamieni i zaczęli rechotać.

- No co? Chyba znajdę gdzieś murarza, który pokaże mi, jak cementować kamienie. Rury do odpływu ze zlewu i doprowadzenie wody do kranów już tu są. Trzeba to tylko jakoś połączyć. Wiem, że to będzie wymagało trochę pracy...

- Trochę pracy? - Gary zaniósł się śmiechem. - Będziesz potrzebowała z pięćdziesięciu ludzi, żeby to jakoś poskładać!

- No dobrze, potrzeba tu dużo pracy. Ale jestem przekonana, że to dobry pomysł... - Gary i Barb zwijali się właśnie w kolejnym ataku śmiechu, zwróciła się więc do Freda: - Nie sądzisz, że będzie pięknie?

- Uważam, że jesteś najwspanialszą sąsiadką w całej okolicy. Jeśli chcesz zbudować sobie wodospad, powinnaś to zrobić.

Odwrócił głowę, spojrzął w oczy Gary'emu i sam zaczął zwijać się ze śmiechu.

W tej właśnie chwili spostrzegła stojącego w drzwiach

mężczyznę... To był Fergus Lockwood. Trzymał w górze zaciśniętą pięść, jakby stukał w drzwi.

Psy zauważyły go pierwsze i popędziły się witać. Wszyscy sąsiedzi zakręcili się na piętach i popatrzyli zdumieni na Phoebe. Potem hałaśliwie witali przybyszą. Zapewniali go, że właśnie wychodzą. Lecz nikt nie ruszał się z miejsca.

Phoebe upuściła miskę z grejpfrutem. Kawałki owoców rozprysnęły się po podłodze. Na moment skamieniała. Tylko jej serce zaczęło łomotać gwałtownie.

To przez niego przyszedł jej do głowy ten idiotyczny pomysł z wodospadem. Przez niego wysprzątała cały dom.

Dlaczego zawsze najbardziej działali na nią niewłaściwi chłopcy? Wystarczyło, że spojrzała na niego i już czuła, że jej krew zaczyna wrzeć.

- Phoebe? Nie chciałem wchodzić bez zaproszenia, ale dzwonek chyba nie działa. A na moje pukanie nikt nie zwrócił uwagi. Wtedy usłyszałem głosy i...

- Nic się nie stało - powiedziała słodko. Z wrażenia omal nie nadepnęła bosą stopą na potłuczoną miskę. - To są moi sąsiedzi... Barb, Gary, Fredzie, to jest Fergus...

- My już wychodzimy - powiedziała Barb, energicznie potrząsając ręką Fergususa.

Phoebe dostrzegła cierpienie w jego oczach. Na szczęście wpadła jej do głowy zbawienna myśl.

- Możecie zabrać resztkę ciasta - powiedziała. - Zobaczmy się później.

Nie więcej niż minutę zajęło jej pozbieranie resztek rozbitej miski, przeżycie ataku serca, uświadomienie sobie, że nie zdoła uczesać się, przebrać i umalować oraz uspokojenie psów.

Przez cały czas Fox się nie poruszył. Rozglądał się z zaciekawieniem.

- Naprawdę przepraszam cię, Phoebe, za to najście.

- Nie ma za co. W sobotnie poranki zawsze odwiedzają mnie sąsiedzi. Co się stało?

. - Byłem ostatnio naprawdę niegrzeczny - powiedział cicho. - Chciałem cię przeprosić. Kiedy ból ustąpił, zacząłem myśleć. Jest mi okropnie wstyd. Przepraszam, że cię uraziłem.

- Nie uraziłeś mnie. Nie musisz się martwić. Doskonale rozumiem, co znaczy ból. - Przyglądała się mu z zaciekawieniem. - Przecież mogłeś zadzwonić z przeprosinami. ...

- No... może. Mniejsza z tym. Nic, czego próbowałem, żeby zwalczyć ból, nie pomagało. Tylko ty zdołałaś tego dokonać. Gdybyś, mimo mojego zachowania, zechciała wpisać mnie na listę swoich klientów, byłbym bardzo wdzięczny.

Widziała, ile wysiłku kosztowały go te przeprosiny.

- Rozumiem, że teraz masz kolejny atak, tak?

- Owszem - przyznał. - Ale nie dlatego przyszedłem. Tym razem ból nie jest aż tak straszny. Nie miałem też zamiaru zmuszać cię do pracy w sobotę. Chciałem cię przeprosić. A że to sobota, pomyślałem, że nie będziesz miała

klientów i będę mógł spróbować przekonać cię, żebyś zechciała wpisać mnie na listę swoich kli...

- Zgoda - przerwała mu.

- Zajmiesz się mną?

- Tak. Ale pod pewnymi warunkami. - Usiadła na stole. - Jeśli chcesz, żebym zajęła się tobą, Fergusie, musisz zgodzić się przejść całą kurację. Nie chodzi o to, żeby łagodzić ból, gdy nadejdzie. Wtedy jest już za późno. Musisz nauczyć się technik odsuwania go od siebie znacznie wcześniej.

- Jakich technik? Jaką kurację? - spytał słabym głosem. Nagle się zachwiał.

- Rozbieraj się - rozkazała.

- Słucham?!

- Teraz jesteś na moim terytorium, Foksie. Idź za zasłonkę i rozbierz się... Możesz zostać w bieliźnie, możesz rozebrać się zupełnie. Mnie jest wszystko jedno. Zdejmij tylko z siebie jak najwięcej. Potrzebuję dwóch minut, żeby zagrzać prześcieradło i się przygotować. Kiedy będziesz gotów, połóż się na tym stole i się nakryj.

-Ale...

- Zrób to.

Nie. Nie zamierzała zwracać uwagi na to, jak jej ciało zareagowało na jego obecność. Ale to idiotyczne podniecenie deprimowało ją.

Na pewno wiele kosztowało go przyjście do niej. Ale widziała, że jego ból narastał z każdą minutą. Przyspieszyła. Psy wyprowadziła na zewnątrz. Wyłączyła telefon.

Szybko nakryła stół do masażu białym prześcieradłem. Drugie włożyła do suszarki, żeby się zagrzało.

Kilka minut temu martwiła się, że wygląda jak psu z gardła wyciągnięta. Teraz nie zostało z tych obaw nic. Niecierpliwymi ruchami upięła włosy. Zastanawiała się, jakich olejków użyć tym razem. Włączyła odtwarzacz i w pokoju rozległa się cicha, spokojna muzyka. Zwinęła kilka małych ręczników, żeby podłożyć mu je pod kark, plecy i kolana.

Za zasłonką Fox zakaszał cicho, niepewny, co ma robić dalej. Nie patrząc w jego stronę, powiedziała:

- Połóż się na stole, na plecach. Zasunę tylko zasłony, żeby światło ci nie dokuczało. Masz tam prześcieradło, jeśli jest ci zimno.

Starła się mówić tonem pewnym i stanowczym. Ale w głębi ducha bała się, że Fox zaraz zaprotestuje. On jednak posłusznie wypełnił jej polecenia. Kiedy był już na stole, odwróciła się do niego. Natychmiast położyła mu na czoło chłodny kompres.

Stanęła przy jego głowie. Przez moment koncentrowała się, jak neurochirurg przed operacją. To była jej praca. Musiała zapomnieć, że to był właśnie on. To nie miało nic wspólnego z seksem. Chociaż wciąż nie mogła pojąć, dlaczego ten wychudzony uparciuch tak rozpalał jej zmysły.

Dobry kwadrans pracowała ciężko. Lecz jego ból był prawie tak uparty, jak on sam. Fox nie był w stanie się

rozluźnić. Ból nie ustępował. Pochylała się nad nim, masując z mozołem.

Aż wreszcie... był jej. Wtedy jej serce ruszyło galopem. Z dziećmi nigdy nie miała podobnych przeżyć. Ani ze starcami.

Bo dotykanie go było naprawdę podniecające. Starając się przynieść mu ulgę, szukała sposobów i miejsc, których dotykanie i masowanie da najlepszy skutek. Starła się wczuwać w najmniejsze płynące od niego sygnały.

Ból zaczął w końcu ustępować. Ale on nadal nie otwierał oczu. Po cichu podniosła boczne poręcze, żeby przypadkiem nie spadł ze stołu. Pomału zaczął odpływać w sen. W pewnym momencie wymamrotał:

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała... Nie jestem żonaty. Ale gdybym miał dzisiaj ożenić się z kimś... to z tobą.

- Tak, tak, wszyscy tak mówią - szepnęła.

Po chwili powiedział:

- Omal bym zapomniał. Ostatnio ostrzegałaś mnie, mówiłaś mi o tych wszystkich mężczyznach w twoim życiu.

Nie ostrzegała go. Powiedziała tylko głośno to, co zapewne i tak myślał o wszystkich masażystkach. Ale się nie odezwał. Czas płynął leniwie. W końcu usnął na dobre.

Przyglądała mu się w milczeniu. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej coś równie dziwnego. Ten chłopak nie dotknął jej ani razu. To ona go dotykała. Tylko ona.

A przecież nigdy przedtem żaden mężczyzna nie podziałał na jej zmysły z taką siłą.

Przerażało ją to.

Tym bardziej że należeli do zupełnie różnych światów. Na pewno nie pasowali do siebie. Bała się, że był człowiekiem, który mógłby zranić ją jeszcze mocniej niż Alan.

scandalous

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Znów miał ten sen. Upiorne słońce paliło mu plecy. Od miesięcy zastanawiał się, czemu jeszcze nikt nie oszalał od tego upału. On chciał tam być. Chciał robić to, co robił.

Kilka ostatnich dni poświęcili na usuwanie gruzu i właśnie przystąpili do odbudowywania szkoły. To była naprawdę ciężka praca. Ale właśnie po to zaciągnął się do wojska. Nie mógł przecież uczyć historii, każdego dnia rozmawiać ze swoimi uczniami o bohaterstwie Amerykanów, sam nie dawszy czegoś z siebie. Poza tym szczerze wierzył, że jeśli weźmie udział w odbudowywaniu szkół i szpitali, sprawi, że jego dzieciaki, jego uczniowie będą mogli żyć w lepszym świecie.

I dlatego też nawet przez chwilę się nie zawahał. Kiedy mały chłopiec o brązowej cerze i wielkich migdałowych oczach podszedł do niego nieśmiało, kucnął i podał mu cukierka i jo-jo.

Dzieciak wydawał się głodny i załęczniony. A tymczasem miał pod ubraniem uwiązaną bombę. Nigdy, nawet przez ułamek sekundy nie przyszło to Fergusowi do głowy. Nawet kiedy ładunek eksplodował... nie wierzył. Nawet gdy leciał kilka metrów w chmurze starych nożyczek



i różnych śmieci... nie wierzył. A ten dzieciak, ten cholerny dzieciak, mały, przeklęty, cholerny, cholerny dzieciak...

W tym momencie zawsze się budził. Tym razem jednak zupełnie nie mógł pozbierać myśli. Był kompletnie zdezorientowany.

Nie było skórzanej kanapy, na której zwykle sypiał. Leżał na czymś płaskim i twardym, zawinięty w ciepłe, delikatne prześcieradło. Wszystko wokół było śnieżnobiałe. W oknach wisiały doniczki z kwiatami. Na środku pokoju, nie wiadomo dlaczego, stała wanna. A w kącie w głębi piętrzył się stos kamieni, rur i złączek hydraulicznych. I ten zapach... Ostry aromat cytryny, delikatny mięty i jeszcze coś trudnego do zidentyfikowania. Świeży, kwiatowy zapach...

Ona.

Obrócił głowę i zobaczył Phoebe. A gdy uświadomił sobie, że leży pod prześcieradłem całkiem nagi, serce zaczęło walić mu jak młotem.

Siedziała w fotelu na biegunach. Wszystkie zasłony były zaciągnięte. Tylko w oknie obok niej zostawała mała szparka, przez którą padał na nią promień słońca. Gołe nogi przewiesiła przez poręcz. W jednej ręce trzymała parujący kubek, w drugiej książkę. Na ramię spływał jej długi rudy kosmyk.

Nigdy dotąd nie spotkał tak zmysłowej kobiety. W spojrzeniach, w dotyku, we wszystkim. Kiedy dotykała go, doświadczał magicznych doznań.

Nagle poruszyła się niespokojnie. Zdała sobie sprawę, że coś się zmieniło. Obróciła głowę i zobaczyła, że już nie spał.

- Która godzina? - spytał.  
- Dochodzi trzecia.  
- Chcesz powiedzieć, że przespałem cały dzień?  
- Tak głęboko spałeś, że nie miałam sumienia cię budzić. Pokręciłam się trochę po domu. W soboty nie mam klientów.

- Zapłacę ci za cały ten czas.  
- O tak - przytaknęła. - Ale zanim to zrobisz, muszę zadać ci kilka pytań. - Podeszła bliżej.

- Jakich pytań? - spytał podejrzliwie.  
- Nie da się masażem złagodzić tak poważnego bólu głowy. Migrena... to jest choroba. Sprawa dla lekarzy. Fizjologia.

- Też mi tak mówiono. - Stała tak blisko, że nie mogła nie zauważyć wysokiego namiotu, jaki uformował się na środku prześcieradła. Ale cały czas patrzyła mu prosto w oczy. Poczuł zażenowanie, ale nic nie był w stanie poradzić.

- To nie ma sensu. Ja tylko łagodzę te silne bóle. Czy masz jakiś pomysł, co może je powodować?

Zamknął na chwilę oczy.

- Lekarze mówili, że to może być następstwo stresu.
- Stresem mogę się zająć.
- Zajmij się mną.
- Ale, jak już mówiłam, musisz przejść całą kurację.

Przygotuję program dla ciebie i twojej rodziny i wtedy zdecydujesz. Rzecz w tym, że to, co robimy teraz, przypomina zamykanie stajni, kiedy koń jest jeszcze na wolności. Walczymy z bólem, kiedy już zaatakuje. A ty musisz zdobyć siłę, żeby pokonywać go wcześniej. Zanim będzie za późno.

- Zgoda. To ma sens.

- Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić - powiedziała ostrożnie. - Mogę nauczyć cię technik zwalczania stresu i bólu. Mogę pokazać ci ćwiczenia, które wzmocnią twoje siły i wytrzymałość. Dam ci amunicję do walki z bólem i pokażę metody, które pozwolą ci sypiać lepiej.

- Nie żartuj. Przecież ja w ogóle nie sypiam. - Czuł zawrót głowy. Im dłużej patrzyła na niego tymi wielkimi błękitnymi oczami, tym bardziej jej pragnął.

Żeby zapanować jakoś nad sobą, spróbował się porużyć. Nie pomogła mu. Nawet nie drgnęła. Patrzyła tylko uważnie, jak siada z wysiłkiem.

- Foksie - powiedziała cicho - czy możesz powiedzieć mi coś o sobie? Twoje życie to nie moja sprawa, wiem. Ale nie mogę pomóc ci, jeśli nie dowiem się o tobie więcej. Co robiłeś, czym się zajmowałeś? Co chciałbyś robić? Twoi bracia opowiedzieli mi trochę. Wiem, że rzuciłeś stałą posadę, żeby wstąpić do wojska. Że w wojsku doznałeś urazu... I to właściwie wszystko, co wiem. Wiem też, że tymczasowo, do wyzdrowienia, zamieszkałeś w kawalerskim domu. Blisko rodziny.

- To wszystko prawda.

- W porządku. Ale jaka jest reszta historii? Czy masz zamiar zostać w mieście na dłużej? Czy chcesz wrócić do pracy? Jak szybko? Co to za praca? Jaką fizyczną aktywnością wykazywałeś się wcześniej? Czy chciałbyś ćwiczyć coś w przyszłości?

Przejechał palcami włosy. Wszędzie dokoła czuł zapach. Delikatny. Cytrynowy. Może nie był to zapach kobiety, ale na pewno nie pasował do jego owłosionych nóg i pokrytego bliznami tułowia.

- Zanim wstąpiłem do wojska, byłem nauczycielem. Uczyłem historii. - Złapał jej zdumione spojrzenie. - Właśnie. Wszyscy patrzyli na mnie w taki sam sposób. Moi bracia zajęli się biznesem, zarabianiem pieniędzy. Ja wybrałem inaczej. Uczyłem w szkole średniej. Najgorszy wiek, kiedy dzieciaki muszą borykać się z burzą hormonów, kiedy buntują się przeciw wszystkiemu. Nieustannie dają nauczycielom do wiwatu. Uczenie w takiej szkole to jak żonglowanie dynamitem. Może dlatego tak to polubiłem.

- Tak... Czy masz zamiar wrócić do szkoły jeszcze w tym roku?

- W ogóle nie zamierzam wrócić do uczenia - rzucił.

- Odpowiesz na pytania, czy tylko będziesz je zadawać?

Zamrugała gwałtownie.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Dlaczego zamieszkałaś w Gold River?

- Pracowałam w szpitalu jako fizjoterapeutka. Lubiłam tę pracę, ale po pewnym czasie postanowiłam

skupić się na pracy z dziećmi. Chciałam też zacząć pracować na własny rachunek. Być niezależna. Wtedy założyłam „KOCHAJ DZIECI”. Polubiłam to miejsce. Miasto, ludzi, wszystko.

- Pochodzisz z...?

- Asheville.

- Gdzie w tej historii jest ten chłopak?

- Jaki chłopak?

- Ten, o którego pytam. Skoro wyniosłaś się z Asheville do małej miejsciny, to musi być w tym jakiś chłopak - powiedział stanowczo.

- Dobrze - powiedziała pogodnie. - Widzę, że już ci lepiej. Muszę jeszcze kupić jarzyny i wyprowadzić psy. A na wieczór umówiłam się ze znajomymi do kina. Zostawię cię teraz, żebyś mógł się ubrać. Program terapii przywiozę ci do domu. Jeśli zdecydujesz się spróbować, zadzwonisz do mnie...

Nie przypuszczał, że dokona tego. Zsunął się ze stołu, owinał prześcieradłem w pasie i ruszył za nią. Dogonił ją w holu. Chwycił za rękę.

Zdumiała się.

On także. Coś było nie tak. W jednej chwili była opiekuńcza i ciepła, by za moment... po prostu uciec. Nie powinno go to właściwie obchodzić. Ale jednak tak było. Coś budziło się między nimi. Jak popiół, który staje się rozpalonym do białości węglem, gdy go poruszyć.

Gdzieś w głębi duszy zaczął się bać, że ona zaczęła czuć coś do niego. Że było to coś prawdziwego, seksualnego.

A na to nie mógł pozwolić. Nie znał własnej przyszłości. Nie wiedział, co go czeka. Jak więc mógł zaopiekować się kimkolwiek. A przecież nie chciał też skrzywdzić jej.

Kiedy dotknął jej ręki, kiedy obrócił ją ku sobie, gdy zajął jej w oczy, wtedy pojął, że miał zamiar... pocałować ją.

I że ona wiedziała, co zamierzał.

I wtedy...

Po prostu, zrobił to.

Dotknął tych delikatnych, zniewalających, pociągających ust.

Kto mógł przypuszczać, że spowoduje to taką reakcję? Być może od dawna nikt jej nie całował. Może i nią zawładnęły tego dnia hormony. A może naprawdę lubił go... W to raczej trudno mu było uwierzyć. A jednak się stało!

Jej sprawne dłonie znalazły się na jego karku. Oplotła go ramionami i przytuliła. Wpiła się ustami w jego usta pełnym pożądania pocałunkiem. Jej język wysunął się na spotkanie jego języka. Jej pełne piersi wparły się w jego poranioną pierś. A z jej krtani wydobył się cichy, bezradny jęk.

Prześcieradło owinięte byle jak wokół jego bioder przegrało walkę z grawitacją i z cichym szelestem opadło na podłogę. Wiedział, że nie ustoi tak długo. Nie dlatego, że nie utrzyma go chora noga, ale dlatego, że nagle cały tlen zniknął z powietrza i zakręciło się mu w głowie.

Objął ją i przytulił mocniej. Ponowił pocałunek. Jeszcze

gwałtowniej. A potem jeszcze raz. Sam pchasz się w tarapaty, pomyślał. Od wybuchu bomby nie myślał o miłości... ani o seksie. Sądził, że ma to już za sobą na zawsze. Jak mógł przypuszczać, że jego ciało wciąż funkcjonuje normalnie?

A przecież tak było.

Wypuszczony na wolność Wacús szalał jak ogon szczeniaka. Z entuzjazmem napierał na jej podbrzusze. Phoebe była niska. I drobna. Gdyby tylko miał dość sił, podniósłby ją. Ale ból, chociaż łagodny, nie opuszczał go ani na moment.

Mimo to nie myślał tracić czasu. Rzucił się od razu na głęboką wodę. Z pełnym zaangażowaniem. Ust, łokci, umysłu, serca... i Wacusia, rzecz jasna.

Ale i Phoebe nie próżnowała. Całowała go z wielkim zapamiętaniem. Pomrukiwała cicho. Tuliła się mocno.

W końcu Fox się poddał. Co ma być, to będzie.

Ona nie była prawdziwa. Nie była normalna. Była czarownicą. Wróżką, spełniającą najwymyślniejsze męskie fantazje. Żadna realna kobieta nie zareagowałaby w taki sposób na pocałunki kogoś takiego jak on. Tak, jakby całe życie czekała na jego dotknięcia.

Fox pamiętał swoje marzenia z czasów, kiedy miał szesnaście lat. Jak śnił na jawie, że jest z dziewczyną. Ale wydorósł. Wiedział, że kobiety potrzebują zasad. Że trzeba finezji i starań, by je rozpalić. Że muszą poznać chłopaka, zanim mu zaufają. No cóż, jakkolwiek seks jest lepszy, niż żaden. Ale przecież warto potrudzić się trochę dla tego najlepszego.

Z Phoebe było tak, jakby została stworzona tylko dla niego. Wydawało się, że zna go na wylot. Wiedziała, jak do niego mówić, jak go dotykać.

Wszystko to było takie niezwykle. Od miesiący był słaby jak kot, a tu nagle poczuł w sobie taką moc, że mógłby góry przenosić. Na długo wyzbył się wszelkich uczuć i emocji. A tu ta niewiarygodna rudowłosa sprawiła, że zaczął myśleć o miłości. O przebudzeniach u czyjegoś boku. I o tym, że mógłby wplatać palce w te długie, jedwabiste, rude włosy każdej nocy.

- Hej.

To był chyba jego głos. Uniósł głowę. Ona wciąż trwała przytulona do jego piersi. Ale to przecież on powinien wykazać się odrobiną zdrowego rozsądku. Zatrzymać to szaleństwo.

- Co tu się dzieje? - spytał pomału.

- Hej? Czy to nie ty, przypadkiem, przyszedłeś do mnie?

- Ale to ty nie powstrzymałaś mnie.

- Co nie zmniejsza twojej winy. To ty zaczęłaś.

- Nie zmniejsza. Ale jestem kompletnie zdumiony, czemu ty pocałowałaś mnie? - Nie mógł oderwać od niej oczu. Miała zaczerwienione policzki, a jej oczy pałały.

Czy zawsze była taka wspaniała? Czemu wcześniej tego nie zauważył?

Odwróciła oczy.

- Fox... Bardzo ci współczuję. Tyle przeszedłeś. A wciąż cierpisz.



- Ach... A zatem pocałowałaś mnie tylko z litości?  
Skrzyżowała ramiona.

- Wiem, żaden facet nie lubi, kiedy kobieta okazuje mu litość.

- Masz rację.

- Ale litość to nie jest tu właściwe słowo. Raczej, współczucie.

- A więc to wszystko ze współczucia - powiedział z namysłem.

Zaśmiała się cichutko.

- No dobrze. Było w tym coś więcej. Zdradzę ci mój problem.

-Słucham.

- Mężczyznom wydaje się, że muszę być bardzo zainteresowana seksem, bo jestem masażystką. Zawsze było to dla mnie wielką zagadką. A ja, po prostu, przejmuję się ludźmi. Inaczej nie wybrałabym takiego zajęcia. Kiedy masuję ludzi... tak jak ciebie... to naprawdę czuję dla nich tylko współczucie. Nic innego. Nie ma w tym cienia seksualności.

Fox walczył usilnie, by przestać myśleć o Wacusiu. Czuł, że próbowała powiedzieć mu coś ważnego, ale nie mógł się skoncentrować.

- Nie jestem pewien, czy cię rozumiem. Chcesz powiedzieć, że nie poczułaś nic seksualnego?

- Nie ma w tym nic osobistego - zapewniła go. - Staram się tylko być z tobą szczerą. Nie jestem zbyt pobudliwa. Mam chyba więcej uczuć macierzyńskich, tak sędzę.

- Macierzyńskich - powtórzył głucho.
- Energicznie pokiwała głową.
- Dlatego właśnie pracuję z dziećmi.
- Bo masz więcej instynktu macierzyńskiego niż seksualnego.
- Właśnie tak.

We środę Fox wciąż jeszcze miał w pamięci tamtą rozmowę. Podniósł szklanekę z wodą, ale zapomniał wypić. Nie przeszkadzały mu głosy braci rozmawiających w sąsiednim pokoju. Nie zwracał uwagi na ciepły posiłek, który mama postawiła przed nim. Co Phoebe próbowała mu powiedzieć? Że nie lubi seksu? Że nie odczuwała popędu? Że okazała mu tylko współczucie? Pewnie! A konie fruwały.

Wspomnienia kłębiły się mu w głowie. Chociaż prócz pocałunków właściwie nie dotknął jej ani razu, miał wrażenie, że... wprost przeciwnie. A ona, chociaż był całkiem nagi, dotykała tylko jego karku. I to wystarczyło, by krew w jego żyłach zaczęła wrzeć.

Już dawno zauważył, że była osobą lękliwą. Niepewną. Rozdygotaną wewnątrz. Niezgłębioną.

Ale aseksualną?

Czy możliwe, że ona sama w to wierzyła? Czemu miałyby tak czynić?

- Fergusie, czy mógłbyś mnie wysłuchać? - Mama była wyraźnie zirytowana.

Fox starał się otrząsnąć z zamyślenia. Pojął właśnie,

jak wielkie zamieszanie w jego życie wniosła Phoebe. I się przeraził.

- Słucham - powiedział z przekonaniem. Do kuchni weszli bracia. Bez wątplenia zwabieni smakowitymi zapachami.

- Próbowałam właśnie powiedzieć waszemu bratu - zwróciła się do Niedźwiedzia i Łosia - że ludzie zamożni, po prostu, nie pracują w szkole. I że jest teraz najlepsza okazja, żeby wybrał sobie jakąś inną drogę kariery.

- Dobrze - powiedział Fox łagodnie. - Jakaż to kariera jest lepsza niż nauczanie?

Mama wzniosła oczy do nieba. Bracia siedzieli przy stole w milczeniu.

- Coś, co pozwoli ci zarobić prawdziwe pieniądze i da więcej kontaktów z ludźmi.

- No cóż, mam. Prawdę mówiąc, zarobiłem mnóstwo pieniędzy. Dużo inwestowałem przez ostatnie lata. - Fox zerknął na braci. Zdrajcy. W błyskawicznym tempie połykali specjały mamy. - A co do kontaktów z ludźmi, to przecież pracuję z dziećmi. Pracowałem. Czy to mało?

- Mógłbyś zostać senatorem - powiedziała mama stanowczo.

- Naprawdę życzyłybyś mi tego? Żebym został politykiem? Nie!

-W takim razie... skoro nie chcesz zmienić swoich planów... czy zamierzasz wrócić do szkoły tej jesieni? Jeśli dobrze pamiętam, nadal masz ważny kontrakt, prawda?

Boże, ależ ona jest sprytna, pomyślał. Inni mają mamy

słodkie. Jego była szczwana jak lis. Chciała, żeby wrócił do życia. Żeby znowu zaczął interesować się pracą, światem i sobą samym. Ale przecież nawet dla niej, chociaż kochał ją nad życie, nie potrafił wyobrazić sobie siebie znów wchodzącego do klasy.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Georgia Lockwood przeszła do kwestii, dla której zgromadzili się wszyscy razem.

- Poza tym nie powiedziałaś mi ani słowa o tej kobiecie, o której Niedźwiedź i Łoś mówią bez przerwy. Nie rozumiem, po co ona tu przyjeżdża. I nie rozumiem, dlaczego związałaś się z nią.

- Ona wcale nie musi tu przyjeżdżać. Zaproponowała tylko, że przedstawi program kuracji całej rodzinie. I nie jestem z nią związany.

Mama popatrzyła nań ponad złotymi oprawkami okularów.

- Fergusie, chyba nie sądzisz, że wypadłam sroce spod ogona.

Bracia po drugiej stronie stołu niemal przestali oddychać. Ale pałaszowali bez umiaru.

- Uwierz mi, mamó. Nic takiego nawet mi przez myśl nie przeszło.

- Masażystka. - Georgia przewróciła oczami. - Daj spokój! Rozumiem, że jesteś mężczyzną wolnym, że nie jesteś żonaty i masz swoje... potrzeby. Ludzie teraz nie chcą czekać. Mogę nie akceptować tego, ale przynajmniej rozumiem. I byłabym naprawdę szczęśliwa,

gdyby okazało się, że jest w twoim życiu jakaś młoda kobieta. W jakikolwiek sposób.

-Mamo...

- Nie zamierzam cię osądzać. Nie musisz się obawiać.

- Mamo...

- Chciałabym mieć wnuczęta. Przyznaję. Na razie żaden z was nie czyni nic w tym kierunku. Nie raz miałam żal do waszego ojca, że jesteście tacy niezależni i... rozbi-surmanieni. - Westchnęła. - Mniejsza z tym. Chodzi o to, że chciałabym mieć wnuczęta z pełnej rodziny, z dwój-giem rodziców noszących nasze nazwisko...

- Mamo!

- ...ale jeśli nie ma innego sposobu, żebym mogła się ich doczekać, pogodzę się z tym. I nic nie powiem. Ani słowa.

Fergus posłał braciom piorunujące spojrzenie. To oni go w to wrobili. A teraz co? Obżerają się smakołykami mamy i nie raczą przyjść mu z pomocą.

- Mamo, proszę, daj spokój. Ona nie jest moją dziewczyną. Nie jest nikim, z kim spotykałbym się...

I dokładnie w tym momencie rozległo się stukanie w drzwi i wszyscy, jak jeden mąż, obrócili się w tamtą stronę. To była Phoebe. Fergusowi omal oczy nie wyszły z orbit. Wyglądała, jakby była w ostatnim miesiącu ciąży.

Po chwili zorientował się jednak, że to nie był jej brzuch, lecz coś na jej brzuchu. Dziecko. Prawdziwe dziecko. W nosidełku na szelkach.

Fox odzyskał oddech i chciał wstać, przywitać się

z nią. Ale nie zdążył. Jego matka zobaczyła dziecko i rzuciła się w jego kierunku jak huragan, z pałającymi oczami.

- Ty na pewno jesteś Phoebe! Nie powiedziałeś mi, Foksie, że ona lubi dzieci. Czy to nie urocze? Chodź, chodź, moja droga. Zaraz dam ci talerz. Jestem pani Lockwood, ale możesz mówić do mnie Georgia. Jeśli nie chcesz jeść, może wolisz kawę lub herbatę? Mówiłam właśnie moim chłopcom, jak to wspaniale, że postanowiłaś zaangażować całą rodzinę Fergusa w tę, hm, kurację...

Fox spojrzał tylko w twarz Phoebe i już wiedział. Serce ścisnęło się mu boleśnie. Jej wymuszony, sztuczny uśmiech... Musiała słyszeć, co powiedział... Że nie była jego dziewczyną i że nie zamierzał się z nią spotykać. Być może słyszała także niepochlebne opinie mamy na temat masażystek. Niech to diabli! Nie mogła przecież wiedzieć, że on tylko spierał się z matką, że próbował ją powstrzymać.

Phoebe weszła do kuchni. Nie zaszczyciła Foksa ani jednym spojrzeniem. Przywitała się z mamą, potem uściśnęła każdego z braci.

Tylko jego braci.

Obu.

Pocałowała.

A jego nie. Ignorowała go.

- Nikt mi nie powiedział, że przyjedziesz z dzieckiem, kochanie. - Mama zwróciła się do niej, jakby były bliskimi krewnymi. Gdzie podziały się jej zastrzeżenia wobec masa-

zystek? Wystarczyło pokazać jej dzidziusia, a już Georgia była szczęśliwa i traktowała Phoebe jak boginię.

- To nie jest moje dziecko. Ale ja pracuję z dziećmi i często zabieram je do siebie na noc. Sądziłam, że nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli przywiozę je ze sobą. Potrzebuję zaledwie kilku minut, żeby...

- Żartujesz? Oczywiście, że to dziecko nikomu nie przeszkadza. - Twarz Georgii promieniała. - A więc, pracujesz z dziećmi, tak? - Popatrzyła groźnie na synów. - Tego także nikt mi nie powiedział. Siadaj, proszę. Usiądź.

Phoebe posłała Foksovi nieprzeniknione spojrzenie. W tym momencie nóż w jego boku dał znać o sobie. Zaczęło się tego ranka. Jeszcze jeden fragment brudnej bomby, ten po prawej stronie, obok nerki. Widział go przez skórę. Metalowy. Mały. Za dzień może dwa, zbliży się do powierzchni, przebije skórę i będzie można go wyciągnąć. Na razie jednak był tylko ból.

Rozsierdziło go to. Nie miał czasu na takie słabości. Musiał wyglądać. Musiał zachowywać się zwyczajnie. Wtedy wszyscy dadzą mu święty spokój.

- ...ma na imię Christine - mówiła Phoebe do jego mamy. Ale teraz siedziała już w fotelu na biegunach. - Przywieziono ją do szpitala kilka dni temu. Została porzucona, gdzieś w górach. Przeznaczono ją do adopcji. Nowa mama już na nią czeka. A ja już od jakiegoś czasu współpracuję z urzędnikami.

- Opiekujesz się takimi dziećmi?

- Niezupełnie. Nie jestem opiekunką do dzieci. Zaj-

muje się nimi przez pewien czas, zanim trafią do nowych rodzin. Porzucone i zaniedbane dzieci bardzo często nie potrafią rozwijać się i żyć wśród ludzi. Jeśli zostały skrzywdzone w bardzo wczesnym wieku, rozwijają w sobie instynktowny strach przed dotykiem. Ja prowadzę z nimi terapię dotykową. Terapię miłości, jak mówią pracownicy socjalni...

- Och, to wspaniałe - powiedziała Georgia z uniesieniem. - Na czym to dokładnie polega?

- To wygląda bardzo różnie. Bo każde dziecko jest inne. W przypadku Christine stosuję technikę złączenia. Prócz ośmiu godzin w nocy... kiedy dogląda jej moja pomocnica... dosłownie trzymam ją cały czas przy sobie, przez trzy dni. Albo noszę ją na rękach, albo tak jak teraz, w nosidełkach.

- Po co to robisz?

- Nie jesteśmy pewni, czy kiedykolwiek zaznała bliskich związków z innymi ludźmi. Dlatego w takim przypadku konieczny jest fizyczny kontakt człowiekiem. Zastępcza matka nie jest w stanie zrobić tego, dlatego ja... Ależ, pani Lockwood, nie musi pani robić sobie tyle kłopotów.

Phoebe ze zdumieniem patrzyła na ustawiane przed nią na stole herbatę, ciasteczka i owoce.

- Jestem zafascynowana - powiedziała Georgia. - Chciałabym dowiedzieć się więcej. To znaczy, że ty...

Fox odchrząknął. Bardzo to było miłe, że obie panie gawędziły sobie tak serdecznie i że mamie przestało przeszkadzać.



dzać, że Phoebe jest masażystką. Ale zanosiło się na to, że ta pogawędka może potrwać jeszcze tysiąc lat.

Phoebe natychmiast spojrzała na niego. Było coś w jej oczach... Podejrzliwość.

- Boli cię, prawda?

Co za przekłeta kobieta. Pocałuj ją kilka razy, a jej już wydaje się, że wie wszystko.

-Nie, ale...

- Wiem, wiem. Przyjechałam, żeby przedstawić program twojej kuracji, a jak na razie zabieram tylko wszystkim czas. - Phoebe delikatnie masowała plecki dziecka.

- Chciałam, żeby wysłuchała mnie cała rodzina, gdyż uważam, że wszyscy powinniście się włączyć. Może ci się to nie podobać, Foksie. Ale twoja rodzina wie o tobie i twoim zdrowiu więcej ode mnie. Poza tym musimy stanowić jeden zespół, żeby znaleźć najskuteczniejszy sposób zmotywowania cię.

Fox się zachmurzył. Brzmiało to tak słodko, tak prawdziwie. Sam tylko jej głos sprawiał, że każda komórka jego ciała zaczynała dygotać. Czuł jakiś straszny podstęp.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Phoebe oczekiwała wybuchu. Z wyrazu twarzy Foksa wyczytała, że wcale nie był zadowolony, że będzie motywowany.

Uśmiechnęła się ciepło do swoich sojuszników, Niedźwiedzia i Łosia. I, oczywiście, do Georgii. Matka Foksa była cudowna.

Kiedy Phoebe wchodziła do kuchni, bała się. Bo usłyszała opinię pani Lockwood na temat masażystek. Ale Georgia nie myślała nic złego. Powtarzała tylko stereotypy, które Phoebe słyszała już miliony razy. Masażystki są w porządku, ale żeby żenić się z nimi.

Przez chwilę poczuła gorycz i żal, słysząc rozmowę Foksa z matką. Ale przecież między innymi dlatego właśnie chciała przeprowadzić rozmowę na temat jego kuracji z całą rodziną. Żeby przekonał się, jak zwykle traktowały ją matki mężczyzn.

Christine pisnęła cichutko. Phoebe zaczęła głaskać ją po plecach. Dziecko również zabrała ze sobą z wyrachowania. Spodziewała się, że zrobi w ten sposób naprawdę wielkie wrażenie na Foksie. Dzieci są najwspanialszym straszakiem dla kawalerów. Gdyby przyszła mu ochota na

szalony seks, widok dziecka natychmiast ostudziły jego zapał.

Ona sama zresztą także nie była gotowa na szalony seks.

Wciąż miała w pamięci ich ostatnie spotkanie. Wciąż nie mogła przestać myśleć o Foksie. A przecież jeszcze nie doszła do siebie po poprzednim dramatycznym doświadczeniu z mężczyzną. Tego wieczoru nadarzała się doskonała okazja, by mogła upewnić się, że nic już... jeżeli kiedykolwiek. .. dla niego nie znaczy.

- No dobrze - zwróciła się do mamy i braci Fergusa.  
- Wróćmy do tych silnych bólów głowy, które zdarzają się Foksowi tak regularnie...

- Tutaj jestem - odezwał się Fox.

- Uh-huh. Nie są to migreny. Gdyby tak było, nie byłabym w stanie walczyć z nimi za pomocą masażu. Mamy zatem do czynienia ze skutkami silnego stresu, co już zresztą sugerowali Foksowi lekarze.

- Właśnie. - Niedźwiedź i Łoś pokiwali głowami.

- Moja praca z dziećmi dała mi duże doświadczenie w walce ze stresem. Dzieci szczególnie cierpią z tego powodu. Bardzo często są kompletnie pozbawione fizycznego kontaktu z innym człowiekiem albo też kojarzą dotyk z bólem. Tak czy siak, bronią się przed wszelkimi kontaktami. Stosuję wobec nich swoistą terapię dotykową. Żeby zmusić je... delikatnie... do przyzwyczajenia się i zaakceptowania dotknięć. Staram się nauczyć je, że kontakt z innym człowiekiem może być wspaniałym przeżyciem.

- Bardzo podoba mi się to, co robisz dla tych dzieci - powiedziała Georgia.

- Z tego, co już zdołałam zauważyć... Fox cierpi wskutek tego samego rodzaju stresu. Został zraniony. I żeby chronić się, zamknął się w sobie. Bóle głowy są taką swoistą formą obrony. Temu samemu służą także wszystkie jego zachowania. Zaszywając się w domu i uciekając w ból głowy, tak naprawdę stara się chronić w ten sposób przed większym bólem. Rozumiecie?

- Jasne - przytaknął Niedźwiedź.

- Ja chyba nie całkiem. - Łoś się zawahał. - Chcesz powiedzieć, że w cierpieniu znajduje poczucie bezpieczeństwa? Że bóle głowy są jego własnym, dobrowolnym wyborem?

- Nie! Skądże. Nikt dobrowolnie nie wystawiałby się na takie cierpienie... Poza tym wszystkie jego rany są prawdziwe. Ale kiedy zwierzę cierpi, kryje się w swojej norze, prawda? Wypoczywa. Kryje się przed ryzykiem, dopóki nie wydobrzeje na tyle, by móc znowu stawić mu czoło.

- Teraz rozumiem - powiedział Łoś.

- A zatem musimy wyciągnąć Foksa z jego jamy. Musimy sprawić, by sam zechciał wyjść na zewnątrz... A to oznacza, że musimy zorganizować mu zajęcia przyjemne i niekryjące w sobie zagrożenia.

- Dobrze, dobrze, przez chwilę było to nawet całkiem zabawne. - Fox był wyraźnie zirytowany. - Ale co za dużo, to niezdrowo. Nie jestem jednym z twoich dzieci. Nie potrzebuję żadnych „przyjemnych zajęć”. Nie jestem też

zwierzęciem chowającym się w norze. Phoebe, jeśli masz jakiś program, który mnie dotyczy, mów do mnie, nie do nich.

- Nie mogę tego zrobić, kochanie - powiedziała słodziotko, jak do małego dziecka - ponieważ wciąż spierasz się ze mną. Niedźwiedziu, Łosiu, musicie trzymać moją stronę, jeśli ma się nam to udać. Pani także, pani Lockwood...

- Możesz na mnie liczyć - zawołała Georgia ochoczo.  
- To jest właśnie to, czego Fox potrzebuje najbardziej. Wyjść z domu, znowu zacząć żyć. Jest taki załamany.

- Nie jestem załamany! - warknął Fox.

Dziecko poruszyło się niespokojnie. Phoebe wiedziała, że zbliża się pora karmienia. Postanowiła więc przyspieszyć.

- Dobrze. Oto program. Ja będę zajmowała się Foksem dwa razy w tygodniu. Masaż, ćwiczenia relaksacyjne i nauka koncentracji, budowanie siły i wytrzymałości. Nauczę go także technik panowania nad bólem, dopóki nie zobędziemy się całkowicie jego bólów głowy.

- Brzmi bardzo rozsądnie - powiedział Łoś.

- Teraz Łoś i Niedźwiedź... Chciałabym, żeby jeden z was znalazł czas i raz w tygodniu zabierał go na ryby.

- Na ryby? - Niedźwiedź ożywił się wyraźnie.

- Na ryby? O czym my w ogóle mówimy? - wtrącił Fox. Lecz nikt go nie słuchał.

- Chcę, żeby wyszedł z domu. Wiem, że trochę teraz zimno na łódce, ale uważam, że to jest dobry pomysł. Nie

będzie mógł, tak po prostu, odejść i wrócić do domu, rozumiecie? Będzie musiał siedzieć tam. A słońce i wiatr działają naprawdę uspokajająco.

- Wchodzę w to! - zawołał Niedźwiedź.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, milutki. Teraz ty, Łosiu. Gdybyś mógł zabrać go raz w tygodniu, wieczorem...

- Zabrać mnie? Czy ja wyglądam na takiego, który potrzebuje niańki?

Nie sprawiało jej przyjemności takie ignorowanie Fergusa, ale miała jeszcze sporo do powiedzenia, a dziecko zaczynało wiercić się coraz bardziej.

- Chciałabym, Łosiu, żeby raz w tygodniu Fox miał jakieś niestresujące zajęcie. Takie jednak, żeby musiał wyjść z domu. Myślę, że to byłby niezły pomysł, gdybyś zabierał go do siebie... Albo w jakiegokolwiek inne, bezpieczne miejsce. Żeby tylko wyrwać go z kolein codziennej rutyny...

- Do diabła! Nie tkwię w żadnej rutynie - oznajmił Fox głośno.

- Tak sobie myślę... Może poker? - Phoebe się zadumała. - Coś, co moglibyście robić w gronie kilku przyjaciół. Ale jeśli nie grywacie w karty, może być coś innego. Chodzi o to, żeby wyciągnąć go z jamy.

- Zrobi się! - zapewnił Łoś. - Phoebe, jesteś cudowna.

- Jestem. - Zachichotała.

- A ja? Mnie nic nie przydzielisz? - upomniała się pani Lockwood.

- Nie przydzielili, bo jest zwolniona - powiedział Fox.

- Niestety, Foksie, nie możesz mnie zwolnić, bo nigdy nie zostałam zatrudniona. To jest tylko propozycja programu. Georgio, chciałabym, żebyś dwa dni w tygodniu spędziła z Foksem, ucząc go gotowania.

- Mam uczyć go gotowania? Nie ja mam gotować? - Georgia była naprawdę zdumiona.

- Nie. Ty przygotujesz składniki i przepisy na jego ulubione potrawy. Zrobisz też zakupy. Jest jeszcze za wcześnie, żeby zmuszać go do bywania w miejscach publicznych. Ale to on musi gotować, przygotowywać produkty. Ty tylko nadzoruj. Bądź z nim.

- Wspaniały pomysł, Phoebe. Teraz rozumiem, dlaczego moi chłopcy tak cię pokochali.

Fox wysoko podniósł ręce.

- Jeden z twoich chłopców nie jest w niej zakochany. Prawdę mówiąc, jeden z twoich chłopców chciałby, żeby Phoebe wyszła z nim na podwórko, na krótką rozmowę. Nie wzywajcie policji i nie martwcie się, jeśli usłyszycie krzyki. To tylko ja będę ją zabijał.

Phoebe siłą wstrzymała się od śmiechu.

- Wiem, że już późno - zwróciła się do jego rodziny - ale nadal chciałabym zabrać Foksa do siebie. Na pierwszą lekcję walki z bólem. - W końcu popatrzyła na Fergusa.  
- Przecież potrzebujesz w tej chwili pomocy, prawda?

Miała go.

Wiedziała.

Coś go bolało. I to bardzo. Wyczytała to w jego oczach.

Poznała po skulonych ramionach i ściągniętych rysach twarzy. Nie mógł odrzucić jej pomocy. Nie w takim stanie. Choćby bardzo chciał.

- Muszę jeszcze zająć się Christine... - Pogłaskała dziecko po plecach. - Ale gdybyś przyjechał do mnie, Foksie, za pół godziny, będę gotowa. Miałam zatrzymać małą na noc. Ale zadzwonię do mojej zmienniczki i wszystko będzie dobrze. A wy... - zwróciła się znowu do reszty rodziny, Foksem całkiem przestała się interesować - ...będziecie mogli spróbować ułożyć harmonogram. Kto i kiedy będzie zajmował się Foksem. Jeśli to nikomu nie przeszkadza, ja chciałabym zarezerwować dla siebie czwartki i poniedziałki. Późne popołudnia i wieczory, zgoda?

Niedźwiedź i Łoś zgodzili się natychmiast. I już po chwili odprowadzili ją do samochodu. Traktowali ją przy tym z taką życzliwością i sympatią, że nie mogła nie polubić ich.

Ich matki również.

Tylko Fergus wprawiał ją w zakłopotanie.

Fergus, który pobudzał do drżenia każdą komórkę jej ciała. I budził hormony.

Ale przecież osiągnęła znaczny postęp. Rozmowa z całą rodziną była doskonałym pomysłem, jak również to, że przywiozła z sobą dziecko. Te pomysły pozwoliły jej samej zapanować nad własnymi emocjami. I spojrzeć na Fergus'a z dystansu. Miała zadanie do wykonania i na nim musiała się skupić. Każde zboczenie z kursu groziło jej wielkim niebezpieczeństwem.



Kiedy bracia wrócili do domu, Fox wciąż jeszcze się boczył. Widział przez okno, jak odprowadzili ją do samochodu. Jak ściskali ją i całowali na pożegnanie.

- Chętnie zaprosiłbym ją gdzieś - powiedział Niedźwiedź.

- O! Myślałem, że chodzisz z nauczycielką z miasta. Z tą Heidi Jak-Jej-Tam.

- Jest miła. Ale nie ma w niej prawdziwego ognia, rozumiesz? Jest taka... nijaka. Za to Phoebe...

- Jeśli ty się z nią nie umówisz, ja to zrobię - powiedział Łoś.

- Chwileczkę - przerwał im Fox. - Żaden z was nie umówi się z nią.

- Dlaczego? - spytali unisono. A ponad ich ramionami wpatrywały się w niego ciekawe oczy mamy.

- Dlatego! - warknął.

Czekali. Gapili się nań w milczeniu. Ale on nie odezwał się więcej. Ból w boku stawał się nie od zniesienia. Podziękował mamie za posiłek i wyszedł.

Poszedł do łazienki i stanął pod gorącym prysznicem. Czekał, czy ból ustąpi. Nie ustąpił. Mętlik w głowie także. Ubrał się i wyszedł z domu. Nie jechał do Phoebe dlatego, że mu kazała, ale dlatego, że chciał się z nią zobaczyć. Bowiem jak dotąd tylko jej udawało się złagodzić jego bóle głowy. Cóż w tym złego, że korzystał z jej pomocy?

Musiał jednak pomyśleć o jakiejś formie godziwej zapłaty. Choćby po to, żeby ich stosunki nabrały wyłącz-

nie biznesowego charakteru. No i był jeszcze jeden problem. .. Rozgryzła go.

Zatrzymał samochód na jej podjeździe. Wysiadł i gwałtownie zatrzaskał drzwi. W jaki sposób zdołała tak wdrzeć się mu do duszy? Przecież nic o nim nie wiedziała. Nic.

Była despotyczna. Stanowcza. Urocza. Była kłopotem dla każdego mężczyzny.

Czemu to właśnie ona była tą, która potrafiła ukoić jego cierpienia? Na świecie jest pięć milionów lekarstw. Czemu żadne z nich nie pomaga? Tylu lekarzy już go oglądało. Bez powodzenia. Zaczął już tracić nadzieję.

Szedł po zwirowym podjeździe, rozglądając się ciekawie. Nawet w wieczornej szarówce widać było, że całość wymagała gruntownego remontu. Trawnik przypominał dziewiczą dżunglę. Z dachu sterczały pojedyncze gonty. A wewnątrz... widział je już poprzednio.

Szalona różnorodność barw na ścianach przykuwała uwagę. W końcu zrozumiał. Tym sposobem nie rzucał się w oczy brak mebli, dywanów czy zasłon. Właściwie nie powinna interesować go jej sytuacja finansowa. Ale na świecie jest wystarczająco dużo chciwych ludzi. A ona w soboty karmi jeszcze pół sąsiedztwa. Pracuje za darmo w wolne dni. I jeszcze zajmuje się nim.

Taka szczodrość nie jest w dzisiejszych czasach dobrą cechą charakteru. Któż chciałby żyć z tak świętą osobą?

Zastukał w drzwi z całej siły i czekał.

Otwarły się po chwili. Phoebe, jak zawsze bosa, miała na sobie coś, co przypominało pidżamę. Długie włosy spływały na ramiona kaskadami. W całym domu było cicho. Nie słyszał żadnego dziecka. Łagodne, przyćmione światło sprawiało, że jej cera wydawała się miękka i pojętna. Także jej pełne usta i błękitne oczy.

Przypomniał sobie jednak, że jest wściekły. Nie bawiąc się w ceregiele, powiedział:

- Nic z tego nie będzie.

Ona też nie bawiła się w uprzejmości.

- Będzie. A przynajmniej jest szansa - powiedziała.

Ruszył do pokoju ze stołem do masażu, lecz powstrzymała go cichym głosem.

- Zaczekaj, Foksie, idziemy do salonu.

- Dlaczego?

- Nie będę cię masować. Dzisiaj będziesz uczyć się walczyć z bólem. Gdzie właściwie teraz cię boli? Bo nie głowa, prawda?

Skąd wiedziała? Skąd ona to wszystko wie?

- Bok trochę mi dokucza. Ale na to nic nie możesz poradzić. Nie po to tu przejechałem. - Wycelował w nią palec. - Wykorzystujesz moją rodzinę przeciwko mnie.

- Tak.

- To nieetyczne. Podstępne.

- Zapewne - przyznała. - Ale działa, prawda?

Nie dał nabrać się na jej słodki uśmiech. Nie tym razem.

- Nie rób tego nigdy więcej. Jeśli mam problem, roz-

wiążuję go sam. Nigdy nie mieszam rodziny w moje sprawy.

-Ależ tak, oczywiście. Przecież jesteś dorosły. Ale w tym przypadku twoja rodzina okropnie niepokoi się o ciebie. Daliśmy im w ten sposób jakieś zajęcie. Może nie pomogą tobie, ale na pewno pomoże to im. Pomyśl o tym, Foksie. Założę się o każde pieniądze, że będzie im łatwiej ze świadomością, że ci pomagają.

Nachmurzył się.

- Jeśli jeszcze raz powiesz coś mądrego, będę musiał walnąć pięścią w ścianę. Nie ma nic bardziej irytującego, niż kobieta, która ma zawsze rację.

- Niech będzie. Już nie raz słyszałam. Chodźmy. - W salonie na podłodze leżał puszysty koc. - Usiądź tutaj... jak ci wygodnie.

Usiadł po turecku. Natychmiast podbiegły do niego psy. Położyły mu głowy na kolanach.

- Mop. Duster. Leżeć!

Klęknęła przed nim. Jej piersi zakołysały się tuż przed jego oczami. Błysnęła mleczna skóra jej dekoltu. Ciekawe, czy zawsze chodzi boso? I gdzie, u licha, znalazła pistacjowego koloru lakier do paznokci? Takim właśnie kolorem pomalowane miała paznokcie u stóp.

- Fox - powtórzyła surowo.

- Słucham? Nie usłyszałem. Phoebe, nie przyjechałem tutaj na jakieś głupie ćwiczenia. Przyjechałem, żeby wyperswadować ci...

- Rozumiem. Nie lubisz mnie. Nie chcesz być tutaj.

Czujesz się dotknięty, że będę pracować nad twoim bólem, gdy ty tymczasem w ogóle nie życzysz sobie czyjejkolwiek pomocy. - Mówiła to miękkim, ciepłym głosem, jakby to wszystko nic nie znaczyło. I jakby czytała mu w myślach. - Posprzeczamy się później, zgoda? Najpierw zróbmy ćwiczenie. Potem będziesz mógł wściekać się na mnie do woli. Weź mnie za rękę, Foksie.

Wiedział, że nic do niego nie czuła. Był tego pewien. Tak jak i tego, że na pewno już dawno zapomniała ich pocałunki. A przecież przez momencik... Nawet krócej. Przez minimomencik. Albo przez mikrominimomencik... Kiedy powiedziała „Weź mnie za rękę, Foksie”, poczuł smak jej ust.

I jej dotknięcia.

I jej bliskość.

I, jak wtedy, dla niej zapomniał o całym świecie.

Wzdrygnął się. Lecz znowu ruda czarownica sprawiła, że... usłuchał jej. Zmusiła go, by wziął ją za rękę. By zamknął oczy. I znowu poczuł, że Wacusz stanął na baczność.

- A teraz, Foksie... nic nie mów... nic nie myśl. Chcę tylko, żebyś wyobrażał sobie. Wywołaj w duszy obraz... Najbezpieczniejszego miejsca, jakie potrafisz wymyślić. Miejsca, gdzie nic ci nie grozi. Gdzie absolutnie niczego nie musisz się bać.

- Phoebe, ja...

- Nie. Nic nie mów. Potem możemy pospierać się, ale teraz... przez kilka minut... Zrób to dla mnie. Skoncen-

truj się. Skoncentruj się całym sobą na wyobrażaniu sobie najbezpieczniejszego miejsca na świecie. - Czekala kilka chwil. - Wymyśliłeś takie miejsce? Wyobrażasz je sobie? Miejsce, w którym czujesz się całkowicie bezpieczny?

- Tak.

- Dobrze. Zatrzymaj teraz ten obraz w wyobraźni i staraj się obejrzeć go uważniej. Spójrz do góry. Spójrz w dół. Wyobraź sobie, że wachasz panujące tam zapachy. Staraj się poznać każdy jego szczegół, każdy zakamarek. - Odczekała moment. - Robisz to?

- Tak.

- Chcę, żebyś dokładnie poczuł, jak bezpieczne jest to miejsce.

- Dobrze, dobrze, czuję to. - Oczy miał wciąż zamknięte. Pomasażował kolana, lecz przestał. Gdyż jej spokojny głos płynął przez niego jak muzyka.

- Nikt nie może dotknąć cię w tym miejscu. Nikt nie może cię zranić. Jest twoje i tylko twoje. Nikt nie zna tego miejsca. Nikt nie wie, gdzie ono jest. I nikt nie może ci go zabrać.

Jej głos hipnotyzował. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, co robiła. Ale przecież zbudował sobie w wyobraźni ten obraz. Nie było to nic nadzwyczajnego. Zwykła, wielka łąka, pełna kwiatów i rozkołysanych na wietrze traw. Słońce grzało. Ptaki śpiewały w oddali. I nic go nie bolało. Z jakiegoś niezrozumiałego, nieprawdopodobnego powodu, nic go nie bolało!

Gwałtownie otworzył oczy. Phoebe siedziała przed nim

ze skrzyżowanymi nogami. Patrzyła mu prosto w twarz i się uśmiechała. Obok niej leżały psy.

- To nie do wiary - powiedział głucho.

- Co jest nie do wiary?

- Nic mnie nie boli.

- To wspaniale.

- Nie. Nie rozumiesz. Mnie naprawdę nic nie boli. Nawet bok przestał mi dokuczać.

- To wspaniale.

Tego było mu za wiele.

- To wcale nie jest zabawne. To niemożliwe. Co mi zrobiłaś? - spytał podejrzliwie.

- To ty zrobiłaś, nie ja. To ćwiczenie nie zawsze pomaga. Ale zawsze warto spróbować. Kiedy znajdziesz się w stresie, kiedy poczujesz, że ból nadchodzi, spróbuj powtórzyć je. Ucieknij do swojego bezpiecznego miejsca.

- To jakaś niewiarygodna bzdura.

- Nie tak zupełnie, panie Sceptyczny. To tylko zwykła, podstawowa fizjologia. Kiedy odczuwasz ból czy stres, twoje ciało się napina. Naprężone mięśnie i ścięgna jeszcze potęgują ból. Ale kiedy czujesz się bezpiecznie, spada ci ciśnienie krwi. Twoje serce zaczyna bić wolniej. Dzięki temu twoje ciało się rozluźnia. Co zmniejsza ból. W ten sam sposób podziała każde relaksujące ćwiczenie.

Rozumiał, co do niego mówiła. Ale już wiele lat temu przestał wierzyć w Świętego Mikołaja. Podniósł koszulę i spojrzął na swój bok. Był tam. Kawalek metalu, który od wielu godzin przesuwiał się ku powierzchni, przebił skórę.

Fergus znał ten ból nie od dziś. Niewielki, w porównaniu z obrażeniami, których był doznał, na tyle jednak dokuczliwy, że nieustannie zaprzętał mu umysł.

- Co to... - Phoebe gwałtownie wciągnęła powietrze. - Oszalałeś, Fox? - zawołała, kiedy spróbował złapać palcami wystający z rany czubek. - Nie dotykaj tego, na Boga!

Bardziej do siebie, niż do niej, mówił:

- Wciąż czuję go... Psiakrew! Miałaś rację, Rudzielcu. Kto by przypuszczał? Nie odszedł, ale naprawdę się zmniejszył.

- Właśnie to starałam się ci powiedzieć. Ćwiczenie z bezpiecznym miejscem ma spowolnić twój oddech i twoje tętno. Jeśli nauczysz się tego, zawsze pokonasz ból. To nie żadna sztuczka magiczna. Są jeszcze inne ćwiczenia... - Przełknęła ślinę. - Posłuchaj. Chcesz, żebym to wyciągnęła? Czy wolisz pojechać do lekarza?

Nie mógł wykręcić szyi tak bardzo, by dokładnie zobaczyć ranę... Widział jednak, że metal przebił już skórę.

- Poradzę sobie, jeśli masz pęsetę.

Miała. Miała też w apteczce maść aseptyczną. I gazę. Nie przestając rozmawiać z nim, zносиła potrzebne przybory. Kazała mu opowiedzieć wszystko o brudnych bombach. I o tym, że poszczególne kawałki pomału przesuwają się na zewnątrz, aż dotrą do skóry. I że to w końcu nic takiego. Nie koniec świata. Czasem tylko trochę... wstrętne.

- To nie jest wstrętne, Foksie. Nie bądź śmieszny. To jest raczej smutne. Ale jak to możliwe, że nigdy nic na ten temat nie mówią w telewizji?



- Żebym to ja... Co ty wyrabiasz? Aj!

- Cholera... Zbolało? - Znowu schyliła się z pęsetą w dłoni. Widział burzę rudych włosów. Czuł na sobie jej dłonie. Niespodziewanie zaczęła śpiewać hymn.

Natychmiast zapomniał o bólu. Każdy by zapomniał.

- Mój Boże! Czy ktoś tu obdziera kota ze skóry? - powiedział.

- Fox. Ta drzazga jest strasznie długa. Jesteś pewien, że nie powinniśmy pojechać do szpitala?

- Oczywiście. Sam to mogę zrobić.

- Nie, nie możesz. Nie dosięgniesz. Obróć się trochę.

- Ponowiła próbę. I znów zaczęła śpiewać.

Zaklął. Ordynarnie.

- Słyszałem już wcześniej, jak nuciłaś. To było straszne. Ale nie aż tak. Będę siedział bez ruchu ile tylko zechcesz, jeśli tylko przestaniesz.

- Obiecujesz się nie ruszać?

- Obiecuję ci wszystko. Jeśli przysięgniesz, że nie będziesz śpiewać.

Żart był raczej kiepski. Bardzo kiepski. Tak kiepski, że oboje zastygli bez ruchu. Zrobiło się przeraźliwie cicho. Tuż przed oczami miał jej twarz. I to, co w niej wyczytał. Współczucie. I coś więcej. Coś tak osobistego, tak intymnego, że przez chwilę nie mógł nabrać powietrza do płuc.

Wtedy powiedziała:

- Już po wszystkim, Fox.

- Nie, nieprawda. Ilekroć znajdziemy się w tym samym pokoju, ilekroć popatrzysz na mnie... A ja na ciebie...

- Nie. Chodzi mi o to, że... to już koniec.

- Naprawdę, chciałbym w to wierzyć. Ale, na Boga, to uczucie nigdy nas nie opuszcza. Nie jestem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu zamierzałem uprawiać seks. Wróciłem do domu, nie spodziewając się, że będę gotów do jakichkolwiek uczuć. I wtedy pojawiłaś się ty.

- Fox! Staram się powiedzieć ci, że skończyłam wyciągać tę metalową drzazgę!

Och! Drzazga. Spojrzał znowu w jej twarz. I ten niepo-  
hamowany, delikatny wyraz tęsknoty, pożądania i blisko-  
ści wciąż tam był. Tak prawdziwy, jak łomotanie jego ser-  
ca. Jak jej rozchylone usta.

scanda.louis

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Phoebe widziała, że zbliżał się, że zamierzał pocałować ją. I doskonale zdawała sobie sprawę, do czego dążył naprawdę. Ale nie była w stanie odtrącić go. Nie po tym, jak z bliska zobaczyła jego szramy i bolesne rany. Nie mogła uczynić nic, co mogłoby zranić Foksa.

Kiedy więc jej ciało wygięło się ku niemu, kiedy jej usta rozchyliły się zachęcająco, to dlatego, że naprawdę chciała pocałować go. Gdyż dostrzegła, że cierpienie jego duszy było stokroć bolesniejsze niż rany na jego ciele. A ona, oczywiście, nie była w stanie zranić jego duszy. Nie mogła odepchnąć go.

Tak tłumaczyła się przed samą sobą z tego, że go pocałowała.

Bo przecież nie zrobiła tego z rozpusty. Nie dlatego przecież, że pozwoliła, by żądze wzięły górę nad rozumem. Ani nie dlatego, że była kobietą, która za nic miała zasady moralne. Phoebe nie myślała o żadnej z tych insynuacji, które niegdyś usłyszała od Alana.

Nie miała czasu na tak nonsensowne rozmyślenia. Umysł miała zajęty gorączkowym poszukiwaniem sposobu taktownego i delikatnego wybrnięcia z tej sytuacji. Bez

urazenia Foksa. Rozmyślała nerwowo. A on całował ją. Potem znowu. I jeszcze raz.

Z trudem łąpała oddech.

- Nie możesz tego robić - wyszeptała z trudem.
- Ależ mogę, zapewniam cię.
- Nie chcę urazić cię, dotknąć w zranione miejsce...
- Phoebe. Nie mogłabyś zranić mnie. W żaden sposób.
- Wplótł palce w jej włosy. Nawet w półmroku widziała blask w jego oczach. - Nie powstrzymuj mnie. Zrobisz to później. Przyrzekam, że nie posunę się dalej, niż będziesz chciała. Teraz i zawsze. Ale nie powstrzymuj mnie przed całowaniem cię jeszcze troszeczkę, dobrze?

Gdyby jakikolwiek inny chłopak odezwał się tak głupio, parsknęłaby śmiechem. Ale Fox, niech go diabli, nie był jakimkolwiek innym chłopakiem. Naprawdę myślał tak, jak powiedział. I naprawdę wierzył, że będą w stanie zatrzymać się, kiedy tylko zechcą. Ale ponieważ wierzyła, że mówił szczerze, jej serce ścisnęło się mocniej.

Na tak długo zatrzasnął wrota swojej duszy przed jakimkolwiek uczuciami. I to, że otwarł je teraz, właśnie dla niej, znaczyło bardzo wiele. Owszem, zdawała sobie sprawę, że to było pożądanie. Seks jedynie. Ale to wcale nie zmniejszało jego do niej zaufania. Wycierpiał tak wiele. Musiała odpowiedzieć mu. Chociaż w sercu nie czuła nic. Właściwie, nic.

No, prawie.

Do diabła! Może faktycznie zadurzyła się w nim bezna-

dziejnie. Może jej serce wyjdzie z tego rozdarte na strzępy. Ale niech tam. Niech całuje.

Nie zdejmowała z niego koszulki. Ale jakimś cudem po chwili znalazła się ona na podłodze. Gotowa była przysięgać, że nigdy go nie dotknie. A tu jej dłonie same szukały drogi po jego piersi i plecach. Dotykała go już wcześniej, fakt. Ale jako masażystka.

Teraz uczyła się go dłońmi kobiety. Opuszkami palców poznawała każdy jego mięsień, każde ścięgno. Brzuch, żebra, kark...

Czuła zapach mydła i zapach jego samego. Poczuła delikatne kropelki potu na jego skórze. Znak rosnącego między nimi żaru. Wstrząsnęło to nią... Podnieciło. Nie był to pot zmęczonego ćwiczeniami człowieka. Tak pachniał, tak pocił się mężczyzna rozpalony.

A on nie przestawał całować jej. Jego usta krążyły nieustannie. Czuła je na karku. Czuła gorący czubek jego języka. Po chwili wsunął dłonie pod jej sweterek. I zdecydowanym ruchem zdjął go z niej. Potem rozpiął zapinki w jej włosach. Opadły ciężką falą na ramiona. A ona opadła na podłogę.

Psy zakręciły się niespokojnie. Warknęły cicho. Uważały, że muszą ratować swoją panią.

- Leżeć, maleńkie - powiedział Fox takim tonem, jakim Phoebe zwykle zwracała się do psów. I zwierzęta uspokoiły się natychmiast. To tylko Fox. Wszystko w porządku. Nic nie grozi ich pani. Choć z tym akurat Phoebe nie do końca się zgadzała.

Otwarła oczy. Fox znieruchomiał. Wpatrywał się tylko w nią z niezwykłym wyrazem twarzy.

Jeszcze przed chwilą siedzieli twarzami do siebie. Teraz leżeli obok siebie, półnaczy. Jej spodnie były związane w pasie. Lecz sznurek nie był zawiązany. A krawędź, zsunięta dużo poniżej pępka, obiecywała tak wiele. Patrzył. Napawał się widokiem.

Pożądał.

Ona także. Pragnęła być tą, która uleczy Foksa. Która sprawi, że znowu zaczną czuć. Zapraśnie odczuwać.

Ujęła go za nadgarstki. Położyła jego dłonie na swoich piersiach. Potem rozpięła guzik przy jego dżinsach i odsunęła zamek. Zrobiłaby to nieco wolniej, gdyby wiedziała, że nie nosił bielizny. A tak Wacusiś wyskoczył tak energicznie, że musiała zamknąć go w dłoni, żeby nie pokaleczył się o ząbki suwaka.

Fox gwałtownie wciągnął powietrze.

- Nie...

- Hm... Czy to nie jest przypadkiem jedno z tych nie, które znaczy tak? - mruknęła.

- Nie prowokuj.

- Wiesz co, Fox? Jeśli gdziekolwiek jest mężczyzna, który potrzebuje odrobiny prowokacji, to myślę, że to właśnie ty. - Jakby na potwierdzenie jej słów, na jej dłoń spłynęła gorąca kropla. - O tak. Lubisz to - wyszeptwała. I nagle zastygła, przerażona.

W ułamku sekundy przeniosła się z żaru tropików w arktyczne mrozy. Spostrzegła bowiem, że Fox zamie-

rzał właśnie odpłacić jej podobną pieśczołą. A ona nie chciała uwieść go. Nie chciała, żeby pomyślał, że jest rozpustnicą.

Gwałtowny strach przyspieszył jej tętno. Pragnęła go. Pragnęła kochać się z nim, dzielić z nim najwspanialsze uczucia. Ale nie chciała mu ulec. Mogłaby. Ale bała się wstydu. Bała się tego zawstydzienia, którego nauczył ją Alan. Wiedziała, że Fox nie był Alanem. Wiedziała, że sytuacja była zupełnie inna, ale...

- Co się stało? - wyszeptał Fox między kolejnymi pocałunkami, głaszcząc rąbek jej ucha.

Nie mogła zebrać myśli, kiedy dotykał jej. W taki sposób.

- Fox. Chcesz się kochać?

- Oczywiście. Z tobą. Teraz. Jeśli tylko zechcesz.

- Bardzo chcę. Teoretycznie.

- Teoretycznie jestem szczęśliwy. - Kolejna seria pocałunków rozpała skórę na jej szyi.

- Ale nie chcę, żebyś się spodziewał...

Uniósł głowę.

- Chodzi o to, co kiedyś powiedziałaś? Że nie lubisz seksu?

- Nie powiedziałam, że nie lubię seksu. Ja tylko nie jestem zbyt aktywna seksualnie... Jeśli więc obiecujesz sobie zbyt wiele... Zwłaszcza, że właściwie się nie znamy...

- Phoebe. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny... Czy mi się to podoba, czy nie. Ja nie znam ciebie nawet w połowie. Ale skoro przedarłaś się przez moje linie obron-

ne... przez mój wielki mur... to wiem, że wszystko jest w porządku. Wszystko między nami jest absolutnie w porządku. Może szalone, ale w porządku. - Zawahał się. - Nie mogę obiecać ci żadnej przyszłości.

- Nie proszę o to.

- To nie ma związku z tobą. Nie mam nic przeciw trwałym związkom. Chodzi... o moje obecne życie.

- Nie proszę o żadną przyszłość - powtórzyła.

Zmarszczył brwi i jakby zamierzał podjąć poważną dyskusję na ten temat. Lecz nic takiego nie miało nastąpić. Tylko tornado mogło zdmuchnąć płomień w jego spojrzeniu.

- Taaaak. Powiadasz więc, że nie jesteś pobudliwa.

- Nie jestem. - Bardzo chciała, żeby to była prawda. Dla jego dobra.

- Dobrze. Coś ci powiem. Jeśli zrobię cokolwiek, co cię nie poruszy, zacznij śpiewać. Zgoda?

Nie dał jej czasu na odpowiedź. Obsypał ją pocałunkami. Od szyi, po płaski, biały, gładki brzusek.

Zsunął jej spodnie i powtórzył tę samą drogę gorącym językiem. Nie zdażyła nawet zaprotestować. Nie mogła tego zrobić. Powietrze gwałtownie uciekło jej z płuc w głębokim westchnieniu. Wyciągnęła ku niemu ręce, przyciągnęła do siebie. Ze wszystkich sił.

Zdarła z niego spodnie. Gorące pragnienie pokonało zdrowy rozsądek. Rozpaczliwie pragnęła, by Fox uważał ją za porządną kobietę. Kobietę odpowiedzialną, którą mógłby szanować i poważać. Na którą mógłby liczyć. Nie musiał



kochać jej. Ale jego szacunek wiele dla niej znaczył. Więcej, niż umiałaby mu powiedzieć...

Ale równie wiele znaczyła dla niej namiętność, która zrodziła się między nimi.

Nigdy dotąd nie czuła tak gorącego pożądania. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Z trudem łapała oddech. I jeszcze to poczucie zjednoczenia z nim... Nie umiała tego wytłumaczyć.

Zupełnie, jakby rozumiała jego ból.

A on jej.

Przetoczyli się po dywanie, prosto w krąg ciepłego światła. I z powrotem w cień. Jakie to szczęście, że żyła raczej oszczędnie. I nie miała zbyt wielu mebli. Fox i bez tego miał już dość szram. Ale nie zważał na nic. Cały pochłonięty był smakowaniem, wsłuchiowaniem się, rozpamiętywaniem każdego dźwięku, każdej jej reakcji, którą zdołał spowodować.

Można by pomyśleć, że odkrył, po co warto żyć.

Phoebe się bała. Bardzo. Lecz odrzuciła wszystkie lęki. I kiedy znalazł się nad nią, oplótł ją nogami. Dostrzegła radość w jego oczach. Niepokój, pożądanie... ale także radość.

Przyciągnęła go. Zacisnęła powieki. Z krtani Foksa dobiegł jej głuchy pomruk. Jak lwa wypuszczonego z niewoli. Phoebe zamruczała jak kotka przerażona jego potęgą.

Na ułamek chwili zastygli bez ruchu.

A potem świat eksplodował. Ruszyli jednym rytmem. Ich ciała załśniły od potu. Gdzieś w oddali dzwonił tele-

fon. Na ulicy zatrafił samochód. Maszyna do lodu chrzęściła donośnie.

Lecz to wszystko działo się w jakimś innym świecie. Z zaciśniętymi powiekami Phoebe poddawała się kolejnym falom rozkoszy. Nadchodzącym jak kolejne trzęsienia ziemi.

Aż opadli, z trudem łapiąc oddechy.

Leżeli bez ruchu. Długie minuty.

Nie usnęła. Nic nie myślała. Ale zanim otworzyła oczy, czas musiał wykonać wielki skok. Leżała, przykryta swoim swetrem. Fox leżał obok, z ramieniem pod głową. Palce drugiej dłoni wplótł w jej włosy. Jego spojrzenie przygasło. Oczy nie pały już dziką żądzą. Pełne były niezgłębionego spokoju.

- Wypędziłem potwory - powiedział.

Zerknęła nad głowę. Psy, z mokrymi łapami, zajęły najlepsze miejsca na kanapie. Skoro ludzie woleli podłogę. Była szczęśliwa. Jak nigdy dotąd.

- Hej - mruknął i pocałował ją w czoło.

- Hej - szepnęła.

- Phoebe - powiedział cicho. - Nie przypuszczałem, że to się może stać.

- Seks?

- Będziesz się śmiała... ale tak. Seks. Ja naprawdę, ale to naprawdę nie sądziłem, że zdarzy mi się to jeszcze kiedykolwiek w życiu.

Pogłaskała go po policzku.

- Co przydarzyło ci się na Bliskim Wschodzie, Foksie?

- Nie wiem.

- Wiesz, wiesz.

Zawahał się.

- Straciłem siebie. Straciłem wiarę w samego siebie. Poczucie własnej wartości. Jako mężczyzny.

-Ponieważ...?

- Nieważne. - Odgarnął jej z policzka kosmyk włosów.

- Ważne jest to, że ja naprawdę nie byłem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będę mógł się kochać.

Z całego serca pragnęła mu pomóc, uleczyć go.

- Powiem ci, chociaż niechętnie, że nie jeden raz wysłałeś sygnały, że pewne części twojego ciała wykazują wielkie zainteresowanie i funkcjonują bez zarzutu.

- Erekcja to jedno. Ciąg dalszy, to zupełnie coś innego. A uczucia... takie prawdziwe... to jeszcze coś innego. - Umilkł na moment. - Gryzie mnie to nieustannie, Phoebe. To, że kochałem się z tobą nie było całkiem... w porządku.

- Wyrzuty sumienia?

- To jest Południe, Rudzielcu. Mama wszystkich synów wychowała w przekonaniu, że nie wolno wykorzystywać kobiet.

- Nie wykorzystasteś mnie.

- Owszem, tak. - Mop zeskoczyła z kanapy i ułożyła się na podłodze, tuż obok nich. - Nie kochałem się bardzo długo. A ty kompletnie zawróciłaś mi w głowie. To niczego nie usprawiedliwia. Ale to właśnie się stało.

- Mnie to bardzo odpowiadało.

- Nie powinnaś wiązać się z facetem, który ma kompletnie poprzewracane w głowie. Który nie ma życia-przynajmniej na razie.

- Wiedziałam, że jesteś w trakcie rekonwalescencji. Foksie. Nic z tego co zaszło, nie stało się wbrew mojej woli.

- Lepiej nie wygadaj się przed moją mamą. - Żartował. Udawał dżentelmena z Południa. Ale przestał bawić się jej włosami. W ogóle przestał jej dotykać. - Zaslugujesz na dużo więcej, niż ci dałem, Rudzielcu... Ale nie jest mi łatwo temu podołać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Muszę pomyśleć... dużo... zanim będę mógł spróbować porozmawiać o tym. A teraz... Jdę do domu.

- Tak. Myślę, że powinieneś. - Nie zaskoczyło to jej. Nie liczyła na nic więcej. Przecież nic ich nie łączyło-

-A tak przy okazji... Zamierzam spróbować twojej kuracji.

- Dobrze. Myślę, że warto. Na pewno dobrze ci pomoże.

- Być może. Jak dotąd nie pomyliłaś się w ocenie stanu mojego zdrowia... Chociaż byłaś strasznie niezdolna.

- Bardzo łatwo się denerwujesz, Foksie.

- Dlaczego inni ludzie tak na mnie nie działają? Wiem, że mi nie uwierzysz, ale wszyscy, którzy mnie znają, uważają mnie za najbardziej cierpliwego i spokojnego człowieka po tej stronie Atlantyku.

- Potrafiłeś oszukać wszystkich?

Na krótką chwilę się uśmiechnął.

- Przejdę kurację. Cały program. Ale musimy zawrzeć umowę. Po pierwsze, zapłacę ci za każdą godzinę. - Wymienił sumę.

- Nie zamierzam tarzać się w brylantach. Uważam, że należy mi się.

- Nie obchodzi mnie, co uważasz. Właśnie tyle ci zapłacę. Po drugie.

-Tak?

Wskazał ręką w głąb domu, gdzie było jej stanowisko do masażu.

- Zbuduję twoją fontannę.

- Nie sądzę, żebyś nadawał się do takiej ciężkiej pracy...

- Jeśli nie dam rady, to trudno. Ale spróbuję. Kiedy mój tata umarł, zostawił mamę zabezpieczoną finansowo. Lecz ona i tak uważała, że powinniśmy nauczyć się robić różne rzeczy, żeby nie musieć polegać na kimkolwiek. Znam się na hydraulice i stolarce. I jeśli tylko moje ciało mi pozwoli, zrobię to. I to będzie część mojej zapłaty. Pieniądze. I fontanna.

Kiedy wyszedł, stanęła naga w ciemnym oknie. Spoglądała za oddalającymi się światłami jego auta. Radość i euforia opuściły ją. Pojawił się lęk.

Mop łąsiła się jej do kolan. Pogłaskała ją, wpatrzona w ciemne okno. Niespodziewanie naszły ją wspomnienia z dzieciństwa. Jej matka pełną piersią czerpała radości i rozkosze życia. Ojciec uwielbiał ją za to. A Phoebe wzrastała w przekonaniu, że wrażliwość i zmysłowość stanowią nieod-

łączną część kobiecości. Ojciec nazywał ją „prawdziwą kobietą”. I w jego ustach było to prawdziwym komplementem.

Wszyscy na świecie wiedzą, że mężczyźni przepadają za kobietami zmysłowymi. Gorącymi, chętnymi i śmiały-  
mi, prawda? O takich marzą mężczyźni, prawda?

Nieprawda.

Duster u jej stóp zaskomliła niecierpliwie. Obrażona, że pani tylko Mop poświęcała swoją uwagę. Phoebe pogłaskała ją za uszami.

To prawda, że mężczyźni pragną kobiet gorących. Ale nie na długo. Kobiety zbyt otwarcie demonstrujące swój seksualizm budzą w nich nieufność. Obawiają się, że nie będą wierne. W głębi duszy nie szanują takich kobiet.

Wszystkiego tego Phoebe dowiedziała się od Alana. To była bardzo bolesna lekcja. W końcu zaczęła wstydić się własnych zmysłów. Trwało tak do chwili, gdy zdecydowała się zająć masowaniem dzieci.

Nie myślała o Alanie od wielu miesięcy... Dopóki nie spotkała Foksa. Wiedziała, że był on zupełnie inny. Lecz nadal bała się zaangażować w związek z kimś, kto jej nie szanował... Albo tylko mógłby jej nie szanować.

Obróciła się na pięcie i poszła do kuchennych drzwi, żeby wypuścić psy przed snem. Chłodne powietrze sprawiło, że zaczęła myśleć rozsądniej.

Nie żałowała, że kochała się z nim. Czuła, że przywraca Foksa do życia. I była szczęśliwa. Choćby przyszło jej zapłacić za to wysoką cenę. Nie mogła jednak zapomnieć, jak zakończyła się ta noc.

Nie chciał z nią zostać.

I natarczywie upierał się, że jej zapłaci... i to bardzo dużo.

Zrozumiała. Nie mogła oszukiwać się dłużej. Zaczyła dla Foksa tyle, co wynajęty pracownik. A przecież wystarczyło zaledwie kilka godzin, żeby poczuła niezwykłą więź z nim. Czuła się jak delikatna, krucha róża. Jej płatki, zwinęte tak długo, zaczęły się rozwijać.

Lecz dla Foksa była tylko masażystką. I jak długo zdoła zapanować nad swoim sercem, jak długo stłumi pragnienie bycia czymś znaczącym w jego życiu, tak długo wszystko będzie w porządku.

Nie wolno jej o tym zapomnieć.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wystarczył tydzień, by wiosna zapanowała nad światem. Słońce przeświecało przez świeże listki na drzewach. Delikatny, ciepły wiatr kołował zmysły.

Ziemia i trawy pachniały ciepło. Jakby cała przyroda kochała się, budziła do życia.

Oprócz mnie, pomyślał Fox ponuro.

To, że raz spędził z Phoebe noc, nie upoważniało do oczekiwania kolejnych. Przemawiało za tym wiele. Ale...

Ale on wciąż o niej marzył. Pożądał jej.

Pragnął kochać się z nią. Natychmiast. Stale. Najchętniej co godzinę. Tydzień po tygodniu.

- Co ty, na Boga, wyrabiasz? - spytał Niedźwiedź surowo.

Fox podniósł wzrok. To był dzień Niedźwiedzia. A to, zgodnie z idiotycznym planem Phoebe, oznaczało, że Fox powinien łowić ryby. Dlatego właśnie, i dlatego, że wędkowanie zawsze było jego ulubioną rozrywką, Niedźwiedź wywłócił go za granicę stanu, aż do Południowej Karoliny. Każdego innego dnia Fox nie miałby nic przeciw temu. Jezioro Jocassee było prawdziwym kawałkiem rajy. Kryształicznie czysta woda wśród wysokich gór.



Niedźwiedź przyholował za samochodem łódź. Kupił żywą przynętę. Władował Foksa na pokład i wypłynął na łowisko.

- Co ty wyrabiasz? - powtórzył Niedźwiedź, szczerze zmartwiony.

- O co ci chodzi? Przecież siedzę tu z tobą.

Niedźwiedź westchnął ciężko. Sięgnął po jedną z leżących na kolanach Foksa książek. Zaczął głośno odczytywać tytuł. *Kobiety i prawo własności w początkach państwa amerykańskiego. Polityka kontroli społecznej i seksualnej na Południu.* Niedźwiedź popatrzył nań spode łba.

-I to ma być relaksująca lektura? - spytał.

- No... czemu nie?

- Nadal będziesz nam wmawiał, że już nigdy nie wrócisz do nauczania historii?

- To nie ma nic wspólnego z uczeniem! Czytam do dla przyjemności!

- Tak, pewnie! Rzecz w tym, że powinieneś teraz rzucić wszystko i zająć się łowieniem. Phoebe powiedziała...

- Phoebe chodziło tylko o to, żebym wyszedł z domu. I jestem na świeżym powietrzu. Tak, jak tego chciała. Co nie znaczy, że lubię łowić ryby.

- Człowiek nie może nie lubić łowienia ryb.

- Jak długo jeszcze będziesz znęcał się nade mną? Daj mi pograć w piłkę... Nożną, koszykówkę, siatkówkę... W każdej z tych dyscyplin dołożę ci bez litości. Ale siedzieć tak bez ruchu i nabijać robaki na haczyk... - Fox z dezaprobatą pokręcił głową.

- Naskarżę na ciebie do Phoebe, jeśli przynajmniej nie weźmiesz wędki do ręki.

- To była wstrętna, obrzydliwa pogroźka. Czy wydałem was, kiedy wrzuciliście z Łosiem skunksa do szkolnej kawiarenki? Czy wydałem cię, kiedy w liceum zwymiotowałeś na ulubioną koszulę Łosia? Bracia nie skarżą na siebie.

- To było zupełnie coś innego. To dla twojego dobra. Czytanie historycznych książek nie jest relaksujące. Phoebe nie tego oczekuje. Masz się bawić.

- Czytanie jest rozrywką - powiedział Fox i otworzył książkę. Sam nie wiedział, którą, gdyż już godzinę wcześniej stwierdził, że nie może skoncentrować się na lekturze i się poddał. Słońce grzało przyjemnie. Jezioro było gładkie jak lustro. Zwykle jezioro..., albo czytanie książek, które uwielbiał... naprawdę relaksowały go. Ale tym razem nie mógł wyzwolić się od uporczywych myśli. O Phoebe.

Kochali się tylko raz. Od tamtej pory upłynęło dziesięć dni, dwanaście godzin i siedem minut. Lecz każdy szczegół tamtego zdarzenia tkwił w jego pamięci jasno i wyraźnie.

Nie dawało mu spokoju, dlatego w pewnym momencie wycofała się i oświadczyła, że nie jest kobietą zmysłową. Zrobiła to dwa razy. Za każdym razem gdy całowali się namiętnie. Byłoby to może nawet zabawne... gdyby nie było dziwne. Nie potrafił pojąć czemu, wbrew oczywistym faktom, próbowała wmówić mu coś równie śmiesznego.

To prawda, że kobiet nie da się zrozumieć. Dlatego Fox nie zaprzętał sobie tym dalej głowy. Ponieważ inne wspomnienia z tamtej nocy nie dawały mu spokoju. Kolory. Każdy pokój w jej domu miał inne barwy. A on wciąż jeszcze nie wiedział, jaki kolor miały ściany jej sypialni.

I ostatnia kwestia. Jej majtki. Kiedy zjawił się u niej, miała na sobie luźne, wygodne spodnie. Lecz to, co zobaczył pod spodem, wprawiło go w osłupienie. Stringi. Atlasowe. Białe, z wyjątkiem czerwonego serduszka na mikroskopijnym przednim trójkącie.

Nie takiej bielizny spodziewał się u kobiety ubierającej się na co dzień w stroje swobodne i praktyczne. Wrażenie to dotyczyło zresztą całego jej domu. Pełen był zmysłowych barw... A ona wciąż twierdziła, że wcale nie jest osobą zmysłową.

Dziwne, pomyślał. Bardzo dziwne. Coś było nie tak z Phoebe. Kochała życie, radość czerpała z kontaktów z ludźmi, dawała im z siebie tak wiele. Problemy jego duszy odczytała lepiej niż on sam.

Pomogła mu, jak nikt przedtem. A przecież wciąż wyczuwał w niej pewien dystans. Jakby się czegoś bała. Tylko czego?

- Ale najbardziej niepokoi mnie, że powiedziała, iż wcale jej nie obchodzi, czy będzie jakaś przyszłość - rzucił Fox z irytacją w głosie.

-Ha?

- Do diabła, co to ma być za postawa? Rozumiem, że ludzie nie potrafią się dogadać... Ale kiedy już się to uda,

kiedy ułożą sobie wspólne życie, to przecież taki związek też może się rozpaść, prawda?

- Chyba zatrąłeś się tlenem. W termosie jest zimna woda. Napij się.

- Chodzi mi tylko o to, że jeśli nawet sprawy potoczą się źle, to nie jest jeszcze powód do wstydu. Nie można się potępić. Zazwyczaj oboje się starają. Nikt nie zakłada z góry, że skrzywdzi drugą osobę. Chyba że mamy do czynienia z kompletnymi durniami.

- Dobrze. Za diabła nie wiem, o co ci chodzi, ale chętnie z tobą pogadam. Skoro mamy rozmawiać o kobietach, myślę, że powinniśmy pomówić o Phoebe.

Fox gwałtownie podniósł głowę. Spojrzał w twarz bratu.

- Co? Nie mówiłem o Phoebe.

- Nie powiedziałem, że mówiłeś - odpowiedział brat słodkim głosem. Urwał nagle, bowiem żyłka jego wędki się wyprężyła. Szarpnął energicznie... Za późno. - Cholera! - rzucił za nikoną w wodzie rybą.

- Co chciałeś powiedzieć o Phoebe?

- Nooo... kilka tygodni temu, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o niej, żartowałem, że chciałbym umówić się z nią. Tymczasem ja i April ostatecznie przestaliśmy próbować nawet udawać, że coś było między nami. Zresztą, naprawdę nic nie było. Mniejsza z tym, chodzi o to, że teraz naprawdę zamierzam umówić się z Phoebe.

-Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie.

Niezrażony, Niedźwiedź wyliczał swoje atuty:

- Nieźle zarabiam. Nawet bardzo dobrze. Pochodzę z dobrej rodziny. Mogę zapewnić kobiecie bezpieczeństwo. I coraz bardziej czuję, że chciałbym się ustatkować. Już dawno przestały bawić mnie przebudzenia ze skacowaną głową i nową kobietą u boku. Coraz częściej myślę o czymś zupełnie innym. O kobiecie, z którą mógłbym porozmawiać, być każdej nocy...

- Pięknie, po prostu wspaniale. Naprawdę starzejesz się - przerwał mu Fox. - Powinieneś się ustatkować. Ale nie z Phoebe.

- A! teraz już rozumiem.

- Co teraz rozumiesz?

- Łoś też tak uważa - powiedział z zadowoleniem. - Że coś do niej czujesz. Nie wiedzieliśmy tylko, jak bardzo to jest poważne.

- Ja nie... nic... nie czuję do nikogo. Uważasz, że umówiłbym się z kobietą, kiedy nawet nie mam pracy? Kiedy nie mam pojęcia, co będę robił za miesiąc?

- Zgoda, w tej chwili może jeszcze nie masz takiego zamiaru. Ale w ubiegłym tygodniu miałeś już tylko dwa ataki migreny.

I ten trzeci, który wyleczyła tymi śmiesznymi ćwiczeniami, pomyślał. Ale o tym nie mógł powiedzieć nawet bratu.

- Chciałem tylko powiedzieć - ciągnął Niedźwiedź - że wygląda na to, że robisz postępy. Nie jesteś jeszcze

w najlepszej formie, ale na pewno jesteś na dobrej drodze. Dlatego...

- Co?

- Co? Powiem ci, co. Mogę umówić się z Phoebe albo nie. Ale zaczekam, aż skończysz cały miesięczny program, który opracowała, zgoda? Aż ci się poprawi. Bo to jest to.

- Co jest co? - Czasem rozmowa z Niedźwiedziem była bardzo trudna.

- Chodzi o to - tłumaczył Niedźwiedź cierpliwie - że musisz wyzdrowieć. W tym cała twoja nadzieja. Przez tę kobietę splątałeś się w wielki supeł. Kiedy wyzdrowiejesz, będziesz na tyle silny, że będziesz w stanie się rozplatać. I wtedy sam znajdziesz wyjście z tej sytuacji.

Fox zamierzał zaprotestować. Lecz nic nie powiedział. Niedźwiedź miał rację. Chociaż nie do końca. Fox nie mógł czekać, aż wyzdrowieje, aż będzie silniejszy. Bo tak naprawdę, nie był pewien, czy potrafi czekać spokojnie choćby minutę.

Nie mógł, ot tak, kochać się z nią, a potem skryć się z „bezpiecznym miejscu”. Phoebe była kimś więcej niż przypadkową znajomą.

Nie mógł pozwolić jej odejść z takim przeświadczeniem. Zbyt wiele dała mu z siebie.

Im dłużej rozmyślał, tym bardziej był pewien, że musi dowiedzieć się, co ją gryzie. Musi poukładać wszystkie sprawy między nimi. Żeby móc znowu kochać się z nią.

Im dłużej myślał, tym bardziej był przekonany, że dobrze to wszystko obmyślił.

Kiedy następnego dnia zatrzymał auto na jej podjeździe, nadal pewien był słuszności swojego pomysłu. Poprawił na ramieniu torbę z narzędziami i wszedł na ganek. Fontanna czekała na niego. Uniósł rękę, by zastukać w drzwi. I wtedy usłyszał z wnętrza domu przeraźliwy płacz dziecka.

Wiedział, że w domu Phoebe żadnemu dziecku nie mogła stać się krzywda. Przeraził się nie na żarty. Na pewno zdarzył się wypadek. Pchnął drzwi, zawołał głośno i popędził w kierunku płaczu.

Phoebe była w kuchni. Stała, jak zawsze bosa. Układała kwiaty w wysokim wazonie. W rondelku coś bulgotało apetycznie. I pachniało tak wspaniale, że wprost rzucało na kolana. Phoebe stała tyłem do niego. Nuciała cicho. Poprawiała bukiet i od czasu do czasu mieszała w rondelku. Cóż za spokojny, sielankowy obrazek... Gdyby nie wrzeszczący dzieciak w nosiłkach na jej brzuchu.

Wyczuła, że ktoś wszedł do kuchni i obróciła się na pięcie.

- O, witaj. - Uśmiechnęła się. - Poplątałam coś w terminach? Dzisiaj jest środa, prawda? Spodziewałam się ciebie jutro.

Powiedziała to ciepłym głosem, ale jemu żołądek ścisnął się w twardą kulę. Tak bardzo oficjalnie to zabrzmiało. Przesesał włosy palcami.

-Ja...

- Nic się nie stało. Wejdz. Cieszę się, że wpadłeś. Ale mam tu dzisiaj Manuela... A szansa, że Manuel będzie ci cho chociaż przez chwilę, jest mniejsza niż w loterii.

Krzyk dziecka zdawał się jej nie przeszkadzać. Przez cały czas głąaskała go jedną ręką. Tylko dlatego, że powiedziała imię dziecka, domyślił się, że to chłopiec. Łysa główka, twarzyczka pomarszczona od krzyku i cała czerwona. Jak tu poznać?

- Manuel pochodzi z Chicago - powiedziała Phoebe.

- Jakim cudem trafił do ciebie z tak daleka?

- Mam kontakty z wieloma agencjami w całym kraju.

Wszędzie mają takie same problemy. Co zrobić z porzucenymi dziećmi? Jak z nimi postępować? Jak obchodzić się, gdy nigdy nie zaznały pieczyt? Nikt ich nie dotykał.

- Zaczepnęła z rondelka i podała mu na łyżce do spróbowania. - Więcej soli?

- Nie, nie trzeba.

- No nie wiem. Czegoś mi tu brakuje. Może trochę więcej czosnku? A może estragonu? Mniejsza... Gdy czytasz statystyki kryminalne, to włos jeży ci się na głowie. A popatrz na dzieci, które weszły w konflikt z prawem. Gdy poszukać głęboko, zawsze okazuje się, że w dzieciństwie brakowało im bliskich więzi z innymi ludźmi. To malarstwo nie będzie u mnie długo. Tylko trzy dni.

- Trzy dni wystarczą?

-I tak, i nie. Ciepłe, życzliwe kontakty, nawet krótkie, zawsze mają znaczenie. Poza tym zdołam przekonać się, czy są przed nim w ogóle jakieś szanse.

Fox słuchał zafascynowany. Ale trudno mu było się skupić.

- Jesteś pewna, że nie jest chory?



- Oczywiście.

-I że nie jest głodny? Że w ogóle nic mu nie dolega? Chodzi mi o to, że tak strasznie krzyczy.

Pokiwała głową.

- Wiem, to brzmi okropnie - powiedziała cicho. - Jego matka była narkomanką. On urodził się pół żywy. Przeszedł całą kurację odtruwającą. Właściwie nie odczuwa głodu narkotyków... zbyt mocno. Biedaczek. Być może nigdy nie zdołamy mu pomóc, ale przecież, sam wiesz, trzeba próbować...

Nie mógł wyjść z podziwu. W jaki sposób potrafiła prowadzić rozmowę, mając przy sobie tak przeraźliwie wrzeszczące dziecko. Ale jedno wiedział na pewno. Jego chytry plan, żeby porozmawiać, a potem kochać się z nią, spalił na panewce.

Lecz znacznie większy szok przeżył, gdy uświadomił sobie, że zakochał się w niej. Właśnie wtedy, kiedy stała bosa, z wrzeszczącym dzieciakiem, mieszając w garnku. Wtedy poczuł, że ogarnęło go uczucie tak silne, że odbierające dech w piersiach.

- Przyjechałeś w jakiejś sprawie? - spytała.

- Tak... Nie byłem pewien, czy będziesz teraz pracować. .. Ale pomyślałem, że jeśli pokój do masażu będzie wolny do obiadu, mógłbym popracować trochę przy fontannie.

- O! To cudownie. Pokój jest wolny.. Dzisiaj przez cały dzień mam tylko Manuela. Będę musiała kręcić się po domu...

- Czy będzie mu przeszkadzać, jeśli trochę pohałasuję?

-Jemu wszystko przeszkadza. Ale nie przejmuj się tym. Musi nauczyć się żyć wśród normalnych dźwięków. W ten sposób przekona się, że jest ze mną bezpieczny. Możesz działać śmiało.

Wyszedł.

Kucnął w kącie i przyglądał się materiałom, które zgromadziła Phoebe. Obejrzał szkice i plany całości. Jak to dobrze, że miał brata, który mógł dostarczyć wszystko, co jeszcze będzie potrzebne. I jak to dobrze, że mama nauczyła synów ciężkiej pracy. Na początek musiał wykonać prace hydrauliczne. Później murarskie i kamieniarskie. Na koniec zostanie ułożenie glazury. Wielka robota. Ogromna. .. dla kogoś, kto zginał się z trudem, jęcząc przy tym raz po raz. Robota na długie godziny, żeby zbudować wiodospad pod dachem. Szalony pomysł.

Cała Phoebe. Wyżej ceniła zmysły i piękno niż rozsądek. Ale w ten sposób mógł coś dla niej zrobić. Odwdziżyć się jej jakoś. Zbyt wielu ludzi, jak się zorientował, brało od niej pełnymi garściami, nie troszcząc się o to, że i ona może czegoś od nich potrzebować.

Zabrał się do pracy. Wiedział, że w każdej chwili jego ciało może odmówić posłuszeństwa. Odwykł od takiego fizycznego wysiłku. Nawet nie zauważył, kiedy płacz dziecka przestał mu przeszkadzać. Przyzwyczał się. Dlatego kiedy w domu zrobiło się nagle cicho, aż się przestraszył. Zerwał się na równe nogi i w panice popędził do kuchni. Malec musiał umrzeć, pomyślał.

Znalazł Phoebe w małym pokoiku o jasnozielonych ścianach. Tym, w którym urządziła swój gabinet. Siedziała przy biurku i przeglądała rachunki. Dziecko spało na jej brzuchu.

Spało. Żyło.

- W końcu przestał - powiedziała. - Ale muszę przyznać, że jest naprawdę dokuczliwy.

- Myślisz, że pośpi choć przez chwilę? - Bał się nawet szeptać.

- Nie wiem. Kiedy dziecko rodzi się uzależnione, jego największym problemem jest to, że nie może odpocząć. To maleństwo ma to już za sobą... Ale przez cały czas jest zły. Nikt nie zadbał o to, żeby dać mu powód do życia, rozumiesz?

- Tak. Rozumiem.

Popatrzyła nań badawczo, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć... Wiedział, że chciała zacząć zadawać pytania. Dlatego zakręcił się na pięcie i wrócił do pracy.

Godzinę później znowu usłyszał płacz. I cichy, uspokajający głos Phoebe. Po kilku minutach stanęła w drzwiach.

- Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli wykapię go tutaj, Foksie?

- Ależ skąd.

Pochylony, studiował uważnie plany. Nie oderwał się od tego, nie odwrócił się do niej. Lecz widział wszystko kątem oka. I był coraz bardziej zmieszany. Najpierw napełniła wodą stojącą na środku pomieszczenia wannę. Dziwiło go to. Wanna była wielka. Na pewno łatwiej by-

łoby kapać tak małe dziecko w umywalce. Ale nic nie powiedział. Nie chciał się wtrącać. Poza tym nie był w najlepszym nastroju. A to za sprawą jej uwagi o dzieciach, które nie znalazły powodów, żeby żyć.

Znowu wróciły wspomnienia małego, czarnowłosego chłopca... Tego z sennych koszmarów. Tego, do którego chciał się zbliżyć. Pokazać, że są na świecie ludzie, którym można zaufać. Którzy chcieli mu pomóc. Wszyscy krewni i przyjaciele próbowali odwieść go od pomysłu zaciągnięcia się do wojska. Mówili, że dla kogoś, kto nienawidził broni, to był zły wybór. Ale nie posłuchał ich. Właśnie dlatego, że nienawidził karabinów. Za to kochał dzieci.

Zawsze, kiedy jego myśli podążały tymi mrocznymi alejami, miał wrażenie, że spada jak kamień. W czarną otchłań. Z której usiłował się wyrwać. Bez skutku. Aż napotkał Phoebe.

Phoebe! Kiedy wanna była pełna, rozebrała dziecko. Rzecz normalna. Ale kiedy wzięła je w ramiona i weszła do wanny, oniemiał.

Szczęka mu opadła.

Nie rozebrała się. W podkoszulku i bokserkach, z dzieckiem w ramionach, weszła do wody. Malec umilkł niemal natychmiast. Może ze strachu, a może lubił to? Kto to wie?

Phoebe roześmiała się radośnie.

- Czy to woda jest twoją piętą achillesową, Manuelu?  
- Ostrożnie ochlapała go. - Ale zanim przekonamy się, co naprawdę cię kręci, będziemy cali mokrzy...

Fox szybko pojął, co robiła. Kiedyś powiedziała, że jeśli tylko jest to możliwe, stara się utrzymywać fizyczny kontakt z dzieckiem bez przerwy. Naprawdę bez przerwy. Malec, nagusieńki, leżał na jej brzuchu. Czuł jej bliskość, ciepło jej ciała. Słyszał bicie jej serca. Był bezpieczny.

Niespodziewanie serce Foksa zaczęło walić coraz mocniej. Phoebe była naprawdę niezwykłą kobietą. Jej oddanie dzieciom, nieskończona cierpliwość, miłość, którą dzieliła się z nimi tak szczerze... Nic dziwnego, że pokochał ją bez pamięci. Ale któż potrafiłby się jej oprzeć?

Bolesna myśl przemknęła mu przez głowę. Że był kiedyś taki czas, gdy i on zajmował się dziećmi z oddaniem i cierpliwością. Kiedy wierzył, że posiadał szczególny dar nawiązywania kontaktów z dziećmi. Dzieci były jego powołaniem. Naprawdę wierzył w to.

Lecz to minęło bezpowrotnie.

- Fox?

Zatrzymał się w drzwiach, z marynarką w jednej i skrzynką z narzędziami w drugiej ręce.

- Nie chciałem wam przeszkadzać. Muszę już iść.

- Już? Tak bez słowa?

- Kiedy dzieciak przestał płakać? - Wskazał ką, w którym pracował. - Wiem, że zostawiam straszny bałagan, ale wrócę tu później. Myślę, że już wiem, o co chodzi.

Teoretycznie i symbolicznie, pomyślał.

- Jutro wieczorem spotykamy się na kolejnej sesji.

- Tak, pamiętam.

W tym momencie poczuł, że nadchodzi kolejny atak migreny. Zbliżał się przerażający, potężny ból. Jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej znaleźć się w domu.

I już wcale nie był przekonany, czy jeszcze do niej wróci. Kiedykolwiek.

scandalous

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Phoebe zapaliła pachnącą owocami świecę. Wsparła rękę na biodrach, cofnęła się o krok i przez chwilę przyglądała się stołowi. Mop i Duster popiskiwały cicho. Na wszelki wypadek, gdyby zapomniała o ich obecności. Wspaniałe zapachy dolatujące z piecyka bez wątpienia je drażniły. A tu nikt, nie wiadomo czemu, nie dawał im żadnych smakowitych kąsków.

Phoebe pogroziła żebrakom. Ale głowę zbyt miała zaprzątniętą Fergusem, żeby poświęcić im więcej czasu.

Kiedy rozległo się stukanie do drzwi, psy puściły się pędem. Radosnym szczekaniem witały przybysza. Gdy tylko Phoebe uchyliła drzwi, psy opadły Foksa. Potarmosił je serdecznie, ale oczu nie odrywał od Phoebe.

- Dzisiaj jestem zgodnie z rozkładem, prawda? - powiedział.

- Prawda. - Jej serce zaczęło bić coraz szybciej. Ale starała się opanować. Był zaskoczony i zdumiony, to pewne. Zawsze widział ją ubraną luźno i wygodnie. Praca masażystki tego wymagała. Tym razem też miała na sobie sweter i spodnie. Ale zrobiła pewien wyjątek. Nie, nie włożyła butów. Zrobiła jednak makijaż. Bardzo dyskretny

i delikatny, ale Fox zauważył to natychmiast. Dostrzegła to w jego groźnym spojrzeniu.

Poprowadziła go do kuchni. I zastanawiała się, co będzie dalej. Coś bardzo złego stało się dwa dni wcześniej. Nie wiedziała co. Wyszedł, zmieniony, jakby zagniewany. Chciała pobiec za nim, ale musiała zajmować się dzieckiem. A poza tym czuła, że nie ma prawa zmuszać go do jakichkolwiek wyznań... W ogóle nie miała do niego żadnych praw.

Tego wieczoru także przekonywała siebie, że wszystkie przygotowania, które poczyniła, wynikały tylko z potrzeb zawodowych. Wszak jego rehabilitacja spoczywała w jej rękach. Zatem jeśli nawet jej obcisły sweterek przyciągnie jego uwagę, to nie stanie się nic złego, jeśli wynika to tylko z przyczyn zawodowych.

Zapytał o Manuela. Rozmawiali o nim kilka minut. Ponieważ przyjechał na dwugodzinną sesję, musiała się pośpieszyć. Gestem zaprosiła, by usiadł.

- Dzisiaj przeprowadzimy kolejne ćwiczenie - powiedziała.

- Tak? - Chyba w ogóle nie zauważył elegancko przystrojonego stołu. Ani na moment nie odrywał od niej oczu. Drażniło to ją i dekoncentrowało. - Co tu tak pachnie?

-Kolacja.

- Nasza umowa nie obejmuje kolacji.

- Dzisiaj obejmuje. Wszystko, co może pomóc ci w powrocie do zdrowia, wchodzi w zakres umowy, pączusiu.



- Pączusiu? - Omal nie zachłysnął się własną śliną. Nie zareagowała. Włożyła tylko kuchenną rękawicę.

Jej zabytkowy stół kuchenny nakryty był eleganckim granatowym obrusem... Na co dzień było to prześcieradło. Pachnące owocami świece dawały przyćmione światło.

Za to menu zadowoliłoby najwybredniejszego smakosza. Na początek gorący, własnego wypieku, chleb. Potem ziemniaki zapiekane ze śmietaną, płatkami kukurydzianymi i serem cheddar. Następnie kurczak pieczony z przyprawami na ostro. Na deser owoce i lody. Pyszności.

Im więcej misek i półmiseków pojawiało się na stole, tym wyżej unosiły się brwi Foksa.

- Co to ma być? - spytał zdumiony.

- Przecież powiedziałam... kolacja.

- Jeśli to jest kolacja, to diament jest zwykłym kamieniem. Myślisz, że nie umiem zauważyć, kiedy kobieta chce mnie uwieść?

- Co? - Upuściła rękawicę. Potem widelec.

- Daj spokój. Przecież wiesz, jak działa na męskie hormony zapach domowego chleba, prawda?

Droczył się z nią. Flirtował. Serce Phoebe podskoczyło do nieba. Nie, nie dlatego, że zrobiło się jej ciepło na duszy. Ale dlatego, że on robił prawdziwe postępy. Jeszcze kilka tygodni temu zamykał się w ciemnym pokoju i unikał ludzi.

- Chleb ma pobudzić twój apetyt -powiedziała.

- To właśnie powiedziałem. Zapach domowego chleba

zawsze budzi głód u mężczyzny. Jak nic na świecie... Nawet, na przykład, twój sweterek.

- To zwykły sweter, Foksie! Ja...

W tym momencie zadzwonił jej komórkowy telefon.

To była jej mama. Phoebe zaniepokoiła się, bo nigdy nie dzwoniła o takiej porze. Gestem zachęciła Foksa do jedzenia i włączyła aparat.

- Czy coś się stało, mamó? Dobrze się czujesz? A tata?

- Wszystko w porządku - powiedziała mama ostrożnie. Prędko wyjaśniło się, czemu. - Chciałam powiedzieć ci coś, kochanie. Wyczytałam właśnie w naszej gazecie, że Alan się żeni. Wiem, że nie jesteście razem już od dawna. Ale nie chciałam, żeby ktoś obcy zaskoczył cię tą wiadomością. ..

Phoebe musiała szybko kończyć rozmowę, żeby kurczak nie spalił się wiórek. Obiecała mamie, że zadzwoni niedługo i wróciła do Foksa.

- Przepraszam - powiedziała i się uśmiechnęła. - Rozmawiam z mamą kilka razy w tygodniu, ale zawsze nam tego za mało.

- Powiedziała coś, co cię zaniepokoiło?

- O nie. Wszystko w porządku.

Musiała powiedzieć coś takiego...

Phoebe wystraszyła się, że zaraz usłyszy jakieś wprost zadane pytanie. Dlatego szybko podała na stół ziemniaki. I zaczęła opowiadać o swojej rodzinie.

- Moi rodzice pochodzą z Asheville. Tata jest anesteziologiem. Mama zawsze mówiła, że to bardzo dobrze, że

on zarabia tyle pieniędzy, że ona nie musi pracować, bo jest na to za leniwa. Ale to nieprawda. Ona bez reszty poświęca się pracy społecznej. Zajmuje się chorymi dziećmi w szpitalu. I nastolatkami w policyjnej izbie zatrzymań. Jest też w radzie dyrektorów ośrodka adopcyjnego. Wciąż zajęta, wciąż w biegu. A do tego maluje.

- To stąd tyle kolorów w twoim domu.
- O tak. To ona nauczyła mnie nie bać się kolorów.
- Jesteście naprawdę zżyte.
- Bardziej już nie można. Tak samo z moim tatą.
- To co takiego powiedziała, co poruszyło cię tak bardzo?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Foksie - powiedziała - dzisiaj zajmujemy się tobą. To twój czas i twoje pieniądze. Nie mam nic przeciwko rozmawianiu o mnie, ale nie wtedy, kiedy pracujemy. - Spojrzała na jego talerz. Właśnie dokładał sobie po raz drugi.
- Mniejsza z tym. Pytaj, o co chcesz.

- Słucham?
- Spójrz na siebie. Jesz jak wilk. Aż miło popatrzeć.
- Podała mu półmisek z chlebem. - Tak... Już zapominałam, o co pytałeś?

- Co powiedziała twoja mama? I wcale nie jem jak wilk.

- Daj spokój. Spróbuj tej marchewki. Jest wysmienita. Naprawdę. Powiedziała mi, że facet, którego kiedyś znałam, właśnie się żeni.

- Rozumiem, że coś was kiedyś łączyło?

- Tak. Zareczyłam się z nim nawet. Obawiała się, że mogę być poruszona i zmartwiona, kiedy dowiem się o tym.

- A... jesteś? Poruszona i zmartwiona?

- Czy wyglądam na poruszoną? - Nawet w słabym świetle świec zobaczyła wyraz jego oczu. - Psiakrew! Nie patrz tak na mnie. Jedz.

- Długo z nim byłaś?

- Trzy lata. Prawie cztery.

- To z nim ci nie wyszło? Przez niego się przeprowadziłaś?

- Tak, panie Ciekawski. Skoro już musisz wszystko wiedzieć, złamał mi serce. Tak bardzo, że musiałam wyjechać. Zacząć wszystko od nowa. Fizycznie i psychicznie. Ale to już przeszłość. Jedz tę marchew.

Usłyszał. Ale nie odpuścił.

- Jak ten sukinsyn złamał ci serce?

Pogroziła mu palcem.

- Zazwyczaj nie zwracam uwagi na język, jakim się posługujesz. Znam wszystkie brzydkie słowa. Ale nie dzisiaj, Fergusie. Ta kolacja i cały program na dzisiejszy wieczór ma wprawić cię w dobry nastrój. Ma cię uspokoić i zrelaksować. Ma działać leczniczo. Ale nic z tego nie będzie, jeśli będziesz się tak bardzo ekscytował.

- Nie ekscytuję się. Chcę tylko wiedzieć, co ten łobuz ci zrobił? Zdradził cię?

- Nie.

Fox z rozmachem odstawił szklanę z wodą.

- Do diabła! Chyba cię nie uderzył. Prawda?

Uniosła brwi.

- Zapomniałeś chyba, z kim rozmawiasz. Jeszcze się taki nie urodził, który uderzyłby mnie i był w stanie o tym opowiadać.

Pokiwał głową.

- Tak, masz rację, Rudzielcu. Powinienem być pomyśleć, zanim głupio spytałem. Żaden szaleniec, który ważyłby się na coś podobnego, nie przeżyłby ani minuty. A ty na pewno nie opłakiwałabyś go.

- Masz rację.

Fergus nałożył sobie kolejną porcję ziemniaków.

- Jesteś twarda i silna i potrafisz zadbać o siebie. Co do tego nie ma wątpliwości. Co więc naprawdę zrobił ci tamten facet?

Westchnęła.

- Powiem ci. Opowiem ci całą, nudną, wstydliwą historię... Ale najpierw ty musisz odpowiedzieć na moje pytanie. Chcę wiedzieć, co się stało. Na Bliskim Wschodzie. Wiem o tym, że byłeś ranny, że to była „brudna bomba” i tak dalej. Ale chcę poznać szczegóły. Gdzie wtedy byłeś? Co tam się działo? Wszystko.

Teraz on się zawahał. Tak bardzo nie chciał odpowiadać na to pytanie, że zebrał naczynia i zaniósł do zlewu. Potem odwrócił się i posłał Phoebe takie spojrzenie, po jakim jego bracia wychodzili w wielkim pośpiechu.

Tym razem nie pomogło. Utwierdziło ją tylko w przekonaniu, że to było właśnie to. Albo za moment dokonają

przełomu, albo Fox przestanie się z nią widywać. Nie dlatego, że nie pomagała mu zwalczać bólu, ale dlatego, że w głębi duszy wcale nie chciał się wyleczyć.

Ku jej zaskoczeniu, zaczął mówić. Pomału, jakby ten temat go nudził.

- Zaciągnąłem się do wojska z powodu dzieci. Bo uważam, że nauczyciel powinien być przykładem dla swoich uczniów. Zwłaszcza nauczyciel historii. Każdego dnia opowiadałem im o amerykańskich bohaterach. O ich dokonaniach. O tym, co uczyniło ich bohaterami. Dlaczego uczymy się o nich. Co znaczy przywództwo, odwaga i tak dalej - mówił, zmywając talerze.

- Rozumiem. - Wstała. Psy także. Rzuciła im resztki. Umyła ręce. Postawiła na stole deser. I czekała.

- Tak - ciągnął. - Częścią nauczania historii jest uczenie o bohaterstwie... O tym, że każdy może w pewnych okolicznościach zostać bohaterem. I o tym także, że bohaterstwo nie zawsze oznacza odwagę. Mówiłem im o poszukiwaniu odwagi. O tym, że każdy bywa czasami bezbronny i przerażony, ale że ważne jest, żeby zawsze stawać po stronie tych jeszcze bardziej bezbronych.

Słuchała, a jej serce topniało jak wosk. Nawet nie zauważyła, kiedy przełknęła pięć wielkich porcji lodów.

-Tak... - Ustawił umyte naczynia na suszarce. - W końcu dochodziliśmy do rozdziału o Bliskim Wschodzie. Zaczynaliśmy omawiać to, co działo się w tej części świata. Zwłaszcza w czasie kilku ostatnich dziesięcioleci. Moim zdaniem, problem polega na tym, że dorośli uwa-

zają, że powinniśmy mieszać się w sprawy tamtego regionu. Wciąż porywamy się na rzeczy niewykonalne. Wciąż mieszamy się w jakieś sprawy, chcemy, żeby wszyscy uważali nas za dobrych chłopców i dziwimy się, kiedy dostajemy po zębach. Dzieciaki nasłuchają się tego w domach i z takimi poglądami przychodzą do szkoły.

- A co ty wtedy robisz? - Nałożyła sobie do miski kolejną porcję lodów i polała gorącą czekoladą.

- Boże! - powiedział ze zgrozą, kiedy to zobaczył.

- Nie zmieniaj tematu. Mów dalej.

- Uznałem, że nie mam innego wyboru i zaciągnąłem się do wojska. Przecież tego właśnie ich uczyłem. Że nie można tylko gadać w życiu. Trzeba działać. Że nawet taki zwykły, chuderlawy, maminsynkowaty nauczyciel jak ja może mieć swój udział... Może coś zmieniać...

- Fox. Nie jesteś maminsynkiem.

- Być może. Ale taki właśnie jest stereotyp nauczyciela. Mniejsza z tym. Poczułem, że nie mam prawa opowiadać im o bohaterach i wodzach, jeśli sam nie stanę do walki.

Phoebe opuściła łyżeczkę. Nie było na świecie większego nad nią łakomczucha. Ale wiedziała, wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że zbliżało się najgorsze. Nie poganiała go. Czekała.

- Tak... - odezwał się po chwili. - Wstąpiłem do wojska. Skierowali mnie do pracy, do której mógł nadawać się ktoś taki jak ja... Odbudowywałem szkoły. Próbowałem organizować nauczanie. Szukałem dawnych nauczycieli.

Byłem kimś w rodzaju łącznika z miejscową ludnością. Nosiłem karabin, ale ani razu nie musiałem wystrzelić. Owszem, bywały incydenty. Nawet sporo. Ale nigdy nie byłem w nie osobiście zaangażowany. Robiłem swoje...

- Proszę - skorzystała z krótkiej przerwy. - Weź trochę wiśni i więcej czekolady.

Kiedy chciała sięgnąć po jego miszkę, wziął ją za rękę. I zaprowadził na ganek. Usiedli na schodkach. Noc była ciepła. Szczęśliwe psy buszowały wokół domu. Nadciągające chmury zapowiadały deszcz. Okrył ją swoją marynarką. I podjął opowieść.

- Miejscowe dzieci zaczęły przychodzić do nas coraz częściej. Nic w tym dziwnego. Dzieci zawsze wiedzą, kiedy dorośli je lubią. Poza tym one naprawdę chciały wrócić do szkoły. W końcu stałe kręciły się koło mnie. Znałem trochę ich język, więc zacząłem uczyć je angielskiego. Rozmawialiśmy o muzyce młodzieżowej, sporcie, różnych grach i zabawach, o wszystkim.

Chociaż miał na sobie tylko koszulkę, a ją ogrzewała jego marynarka, to właśnie ona miała zimne dłonie.

- Tak... To stało się pewnego ranka. Było gorąco. Bardzo. Zacząłem pracę wcześniej. Sam nie wiem czemu. Pewnie byłem szalony. Niosłem pudło z zaopatrzeniem. Kiedy wyszedłem zza węgła, zobaczyłam nadchodzącego chłopca. Był jeszcze bardzo młody. Miał wielkie czarne oczy. Piękne oczy. Pomyślałem, że pewnie jest sierotą i nocuje gdzieś na tamtej ulicy. Może był chory? Miał w oczach takie... dorosłe cierpienie.



Mop i Duster położyły mu się u stóp. Nie jej. Psiakrew! One wiedziały.

- Zacząłem rozmawiać z nim. Jak zawsze rozmawiałem z dziećmi. Tym samym tonem, z tym samym uśmiechem. Wyjąłem z kieszeni batonik i dałem mu. Zastanawiałem się, czy nie powinienem poszukać dla niego lekarza.

- Fox. - Przerażliwy smutek w jego oczach sprawił, że jej krtań ścisnęła się boleśnie.

- Miał pod ubraniem brudną bombę. Zdetonował ją.

- O mój Boże! - wyszeptała.

- Nie wiem, co było później. Dlaczego wróciłem do domu taki rozbity. I wściekły. To było straszne, a ja nie mogłem tego powstrzymać. Właściwie nie widziałem jego śmierci. Nic nie widziałem... Pamiętam tylko, że zostałem rzucony wybuchem na ścianę i straciłem przytomność. Na wiele godzin. A kiedy się zbudziłem, byłem wściekły. Tak wściekły, że chciałem walić pięściami w ściany i kłamałem każdego, kto próbował mi pomagać...

- Fox.

W końcu spojrzał na nią.

- Nikomu z rodziny nie opowiedziałem tego. Nie chciałem. Ja naprawdę nie wiem, skąd we mnie tyle złości. Ale tylko takie wyjaśnienie mogę ci dać, Rudzielcu. Tak było. To wszystko... Oj!

Może chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie dał rady. Napadła nań jak anioł zemsty. Wiedziała, że wciąż miał niezaleczone rany. Wiedziała, że kamienne schody są zim-

ne. Pamiętała, że samej sobie obiecywała, że już nigdy nie pokaże mu, jak zmysłową jest kobieta...

Ale co miała zrobić? Wysłuchawszy tej straszliwej opowieści, nie zrobić nic? Udawać, że nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia?

Pocałowała go. Gwałtownie, namiętnie. Gorąco. Nie dbała o to, czy straci w jego oczach resztki poważania. Seks. To był sposób okazania mu miłości. Ofiarowania miłości. Była to droga bez odwrotu, ale w tej chwili nie miała wyboru.

Nie odrywając się od jego ust, zrzuciła z ramion marynarkę i zaczęła ściągać sweterek. Obojgu potrzebna była sekunda przerwy dla nabrania oddechu. Wykorzystała tę sekundę i zdjęła sweter.

To nie był dobry pomysł. Psy porwały go natychmiast i pobiegły za dom. Fox patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

Na podjeździe sąsiadów zamigotały światła samochodu. Widzieli coś? Było to jej zupełnie obojętne. Nie rozpięła mu koszuli. Bała się, że się przeziębi. Sięgnęła od razu do jego spodni.

Całowała go, pieściła. Ustami i rękami mówiła, jak bardzo zasługiwał na miłość.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Wyszeptał jakieś słowo.

Była pewna, że było to jej imię.

Zacisnęła powieki i kontynuowała szalone przedsięwzięcie. Wściekłość, którą czuła do całego świata, starała się przełożyć na głębokie uczucie do niego.

Całowała go przez koszulę. Od szyi po rozpięty suwak spodni. Jakże szybko wyskoczył jej naprzeciw! Wsunęła mu ręce w spodnie i zaczęła je zsuwać. Coraz niżej i niżej.

- Tak traktuje się inwalidę? - szepnął, kiedy poczuł pod sobą zimne, kamienne płyty.

- Tylko spróbuj uciec!

- Oszalałaś? Nigdy w życiu nie zrobiłbym tego. Tylko nie chciałbym, żeby zamknęli nas za obrazę moralności. No, chyba że po wszystkim.

- Wszystko jest możliwe. Ale moi sąsiedzi nie są dziećmi. I nie mają dzieci.

- To dobrze - mruknął. I zaczął zdejmować z niej ubranie. Nie trwało to długo.

I wtedy zwolnił. Wplótł palce w jej włosy, znieruchomiał. I patrzył na nią. Potem zaczął pocierać nieogolonym policzkiem o jej piersi. Potem dotknął językiem jej brodawki. Potem drugiej. Delikatnie. Coraz żarliwiej. Potem każdą po kolei ścisnął zębami. Aż gorące żądze wycisnęły z jej krtani głuchy jęk.

- O tak, tak - szepnął. - Chodź, chodź, Phoebe.

To ona zaczęła, ale jakimś sposobem on przejął inicjatywę. I po chwili trwali spleceni w ciasnym uścisku. Blask księżycy świecił na jej zaciśnięte powieki. Słoneczny żar z jego wnętrza docierał bezpośrednio do jej wnętrza.

Coraz szybciej i szybciej, ruszyli we wspólnym rytmie.

W tym samym momencie dotarli do szczytu. Z ust Fergususa wydobył się radosny okrzyk i sprawił, że zachciało

się jej śmiać. I ją także przepełniała niezwykła radość. Nic nie mogło wymazać z jego pamięci tamtych okropnych przeżyć. Ale w takich jak ta chwilach smutek był bezradny. Miłość miała moc uzdrawiającą.

Pocałowała go, dysząc ciężko. I jeszcze, i jeszcze. Pocałował ją, dysząc ciężko. I jeszcze, i jeszcze. Chłód nocy sprawił, że zadrżeli. Otwarli oczy i uśmiechnęli się do siebie.

Jeszcze nikt nie uśmiechał się do niej w taki sposób.

Odgarnął jej włosy z czoła.

- Zasapałem się przez ciebie, Rudzielcu - szepnął.
- A ja przez ciebie.
- Zażębimy się na śmierć.
- Wiem. Powinniśmy wejść do...
- Wejdziemy. Ale muszę ci coś powiedzieć. - Uśmiechnął się szeroko. - Jesteś najseksowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Jesteś moim snem i marzeniem.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Fox wyjechał z zakrętu, zobaczył rzęście oświetlony budynek. Była to restauracja Lockwoodów. Łoś wszystko robił z rozmachem.

Był to jeden z najlepszych lokali w mieście. Wstęp tylko w krawatach. Samochody na parking odprowadzał chłopak w smokingu. Nawet w tak chłodny wieczór fontanna i ogród tonęły w jaskrawym świetle. Ale, do diabła! Najtańsza potrawa w karcie kosztowała tam pięćdziesiąt dolarów.

Fox zatrzymał auto za domem. Obok BMW brata. Na szczęście były tam tylne schody. Mógł wejść do środka niewidziany przez nikogo. W dzinsach i spranej, pamiętającej jeszcze studenckie czasy koszulce wyglądałby nieco dziwnie.

W pokera nie grał już ponad rok. I gdyby nie dziwaczne pomysły Phoebe, nawet nie pomyślałby, żeby się do stołu.

Z otchłani szaf wydobył swoje „szczęśliwe” ubranie. Ale nie z myślą o pokerze. Potrzebował szczęścia z Phoebe.

Nieustannie wracał myślami do poprzedniej nocy. Kiedy kochali się jak szaleni. Lecz czy oznaczało to, że zbliżyli się do siebie chociaż trochę?

Miał o czym myśleć. Jeśli bowiem nie potrafiłby żyć bez niej, to oznaczało, że całkiem już wyzdrowiał i że powinien zacząć nowe życie.

A wyglądało na to, że nie był w stanie bez niej żyć. Że nie był w stanie żyć, nie kochając się z nią w dzień i w nocy. Albo i częściej. Do końca życia.

Ale już po wszystkim Phoebe zachowywała się nadzwyczaj dziwnie. Po raz kolejny wrócił w myślach do tamtych chwil. Doskonale pamiętał, że powiedział jej, że jest najseksowniejszą kobietą na świecie. To chyba nie zniewaga, prawda? Powiedział jej komplement, najszczerzy ze szczerych. Tak przecież myślał. Phoebe natomiast... się przestraszyła.

Wiedział, że ona miała na tym punkcie jakiś problem. Czemu więc to powiedział? Bo to była prawda. Phoebe była dla niego spełnieniem marzeń. Tęsknił za nią nieustannie. Za jej obecnością, jej dotknięciami. I miał wrażenie, że ona także zaznała z nim rozkoszy. A przecież, kiedy powiedział, co powiedział, stwierdziła, że sesja się skończyła. „Co jest, do diabła! Dlaczego?” zawołał.

- Fergusie - odparła - miałeś spędzić tu tylko dwie godziny. Niedługo przywiozą mi dziecko na noc. Nie przewidziałam, że będziemy kochać się dzisiaj.

Wtedy zrozumiał, że stało się coś złego. Nazwała go Fergusem, nie Foksem.

Równie dobrze mogła walnąć go pięścią w brzuch.

Wszedł na piętro, do mieszkania Łosia, i zastukał w drzwi. Nacisnął klamkę.

- To ja - zawołał.

W głowie jednak wciąż miał Phoebe. Kochał brata. Lubił pograć w pokera. Od czasu do czasu. Ale nie tego dnia. Tego dnia chciał być sam. Miał tyle do przemyślenia. Całe swoje przyszłe życie. Pracę.

Poza tym wciąż nie dowiedział się, co zaszło między nią i jej byłym narzeczonym. Czuł, że to mógł być klucz do jej tajemnicy.

- Łosiu? Gdzie, u diabła, jesteś? - zawołał.

Spodziewał się, że stół do pokera będzie czekał naszykowany w kuchni. Jak zawsze. Ale kuchnia była pusta i cicha. Mechanicznie otworzył lodówkę i wyjął piwo.

- Łoś? Naprawdę przyszedłem pierwszy?

Poszedł w głąb mieszkania. Minał znajdujące się po obu stronach długiego korytarza dwie sypialnie z łazienkami i doszedł do gabinetu brata. Przez uchylone drzwi zobaczył stół do gry. Otworzył usta, żeby przywitać się i zamknął je bez słowa.

Łoś poderwał się na równe nogi.

- Hej! Fox. Nie słyszałem, że wszedłeś. Jesteś trochę wcześniej...

-Wiem. Ja...

- Fox, znasz Marjorie, prawda? Marjorie White?

- Nie. Nie miałem przyjemności. - Podszedł z wyciągniętą do powitania ręką. Kątem oka zauważył, że na stole nie było kart. Nie było też napojów. Ani nic do jedzenia. I, poza Łosiem i tą kobietą, nie było nikogo więcej.

I gdy on ubrany był jak łachmaniarz i zjawił się z butel-

ką piwa w dłoni, ona ubrana była z wyszukaną elegancją. Trochę złotej biżuterii. Wieczorowy makijaż. Mała czarna. Kosztowne perfumy.

- Fergusie, wiele o tobie słyszałam.

- No... Miło mi cię poznać - powiedział uprzejmie. Skonsternowany, popatrzył na brata.

- A myślałem, że spotkaliście się już kiedyś - powiedział Łoś słodziutko. - Marjorie nie jest nauczycielką. Ale wyszła za „Dzikiego” Curly Forstera. Pamiętasz go? Grał w mojej drużynie i chodził do mojej klasy. Potem był wziętym prawnikiem.

- Pamiętam - skłamał Fox.

- Umarł kilka lat temu. Wypadek samochodowy.

- Bardzo mi przykro - powiedział automatycznie Fox.

- Tak więc oboje coś w życiu straciliście - powiedział Łoś.

- Tak?

Marjorie roześmiała się cicho.

-Widzę, że twój brat naszykował ci niespodziankę - powiedziała. - Ale nie musimy przejmować się tym zbyt, Fergusie. Po prostu pomyślał, że dla odmiany przydałoby ci się damskie towarzystwo. Napijmy się, porozmawiajmy, dobrze?

- Oczywiście. - Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Łoś już by nie żył. - Ubrałbym się inaczej, ale myślałem, że będę grać w pokera.

Łoś klepnął go po łopatkę.

- Marjorie nie będzie to przeszkadzać. Siądźcie sobie



wygodnie. Poznajcie się lepiej. Macie tam płyty z filmami. W lodówce jest wino. Ja muszę zejść na dół. Mamy tam dzisiaj straszny młyn. Firma „Wolcott” zorganizowała zabawę dla swoich pracowników.

- Łoś! Zwolnij...

- Kazałem też przygotować kanapki. Taca stoi w kuchni. Wystarczy tylko...

Marjorie patrzyła nań coraz większymi oczami. A na jej policzki spływał gorący rumieniec.

- Widzę, Fergusie, że o niczym nie wiedziałeś. Ja też nigdy nie lubiłam randek w ciemno. Ale myślałam... Twój brat powiedział... Chodzi mi o to, że nie jestem jeszcze w takiej potrzebie, żeby trzeba było umawiać mnie...

- Oczywiście, że nie jesteś. - Niech to szlag! Poczuli się naprawdę dotknięta. Poważnie zamierzał udusić brata. Powoli i bardzo boleśnie. - Usiądź, Marjorie, dobrze? Porozmawiamy. Naprawdę nie chciałem być tak...

Jak to nazwać? Okrutny? Bezlitosny? Była ładna. Nawet bardzo ładna. Właściwie śliczna.

Ale to nie była Phoebe.

Brat się ulotnił. I nic nie mógł już na to poradzić. Spojrzał na dziewczynę. Była zażenowana i nieszczęśliwa.

Podał jej kieliszek wina. Postawił na stole tacę z tartinkami. I wysłuchał całej historii jej małżeństwa z „Dzikim” Curly Forsterem. Poczawszy od zalotów, aż do jego śmierci. O dwójce ich dzieci. O pieniądzach, które odziedziczyła. O okropnych teściach. O podróży do Paryża, któ-

raą odbyła rok wcześniej, dla ukojenia starganych nerwów. I o tym, jak bardzo za nim tęskniła.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, Fox dostał wygodną wymówkę. Telefon był z lokalnego komisariatu. Chcieli prosić jego brata o darowiznę. Obiecał im pięciocyfrową kwotę i się rozłączył. Ale Marjorie powiedział, że to dzwonił Łoś... Że pilnie potrzebuje jego pomocy na dole. Obiecał wrócić jak najszybciej i wybiegł.

Schody pokonał z prędkością błyskawicy. Dopadł kuchennych drzwi restauracji. Jak huragan przebiegł przez zaplecze. W końcu zobaczył go. W jednym z gabinetów otwierał właśnie butelkę wina.

Łoś musiał zobaczyć dym buchający z nozdrzy Foksa, bo tylko palcem wskazał drzwi. Wyszli na zewnątrz.

- Co to ma, do cholery, znaczyć? - warknął Fox, kiedy znaleźli się na parkingu.

Łoś uniósł ręce w obronnym geście.

- Chodziło o to, żebyś znowu wrócił do życia. Żebyś wyszedł z kawalerskiego domu. Żebyś się ruszył. Żebyś przypomniał sobie wszystkie dobre strony życia.

- Uznałeś więc, że trzeba mnie umówić z kobietą?

- Tego nie powiedziałem.

- To co powiesz?

- Powiem - powiedział cicho - że to był pomysł Phoebe.

- Co?!

Łoś wcisnął ręce do kieszeni.

- Zadzwoiła do mnie dwa dni temu. Wiedziała, że teraz moja kolej na wyjście z tobą. Spodziewała się,

że zabiorę cię na pokera, ale powiedziała, że ma inny pomysł. A, jak wiesz, ja znam kilka kobiet.

- Phoebe kazała ci umówić mnie z kobietą? - zdumiał się niebotycznie.

- Nie umówić cię! Nie tak, jak myślisz. Powiedziała tylko, że w ramach terapii... Żebyś znów poczuł ochotę do życia, trzeba przypomnieć ci rzeczy, które kiedyś lubiłeś najbardziej.

- Na przykład dziewczyny?

- Hej. Widzę, że strasznie jesteś wściekły. Myślę, że Phoebe uznała, że znam wiele kobiet, rozumiesz? Że bez trudu którąś zaproszę. A Marjorie zna ciebie od bardzo dawna. Kiedyś, podobno, nawet coś do ciebie czuła...

- Dosyć, dosyć.

Nie wypadało kazać Marjorie siedzieć samotnie tak długo. Musiał wrócić na górę i wykaraskać się z tego jakoś. Ale wciąż nie mógł zapomnieć, że to był pomysł Phoebe. Nie dawało mu to spokoju. Dwa dni temu... To znaczy, że wpadła na ten pomysł po nocy spędzonej z nim. Na werandzie.

Tylko jedno wyjaśnienie przychodziło mu do głowy. Że kochając się z nią tamtej nocy, zranił ją. Zranił ją bardzo. Bardzo.

Tylko dlaczego?

W piątkowy ranek Phoebe pracowała z dziećmi, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Otworzyła je, trzymając na rękach dwoje maluchów. Fergus uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, że masz ręce pełne roboty - powiedział. Pocałował ją w czubek nosa i wszedł do środka. Niósł skrzynkę z narzędziami. - Mam wolną godzinę, postanowiłem więc zająć się fontanną, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Nie mam. Mam teraz zajęcia w salonie, ale to nie przeszkadza. Jak się czujesz?

- Wyśmienicie. Nie może być lepiej.

Zdziwił ją ten radosny ton.

- Nic cię nie boli?

- Nie ma o czym mówić. Byłem wczoraj u lekarza. Nie widział mnie dość dawno. Powiedział, że po raz pierwszy od wielu miesięcy wyglądam tak wspaniale. Możesz mi wierzyć, że był to naprawdę wielki komple...

- Dobrze bawiłeś się wczoraj z bratem? - spytała.

Zdjął marynarkę i zaczął rozkładać narzędzia. Prawie na nią nie patrzył.

- Chodzi ci o wieczór z Łosiem. Powiem ci prawdę, Rudzielcu. Osiągnęłaś to, na co na pewno liczyłaś... Wstrząsnęło to mną bardzo. Słyszę, że dzieci płaczą. Chyba powinnaś wrócić do salonu. Mną się nie przejmuj.

Kłęknał, plecami do niej. Została, z otwartymi ustami. Z niewypowiedzianym pytaniem. Był jakiś... dziwny tego dnia.

Czy Łoś zorganizowało spotkanie z Marjorie? Czy stało się coś innego? Czy będzie teraz musiały nerwowo obgryzać paznokcie?

Cholera! Czyżby pocałował JIK? Jakaś Inną Kobieta?

- Phoebe?

To była jedna z mam. Phoebe zakręciła się na pięcie i szybko, poszła do salonu. Gabinet zabiegowy był duży, ale sześć matek z dziećmi naraz nie mieściło się tam. Zwłaszcza kiedy wszyscy musieli zmieścić się na podłodze.

Na kocykach leżało sześcioro golusieńkich dzieci. Najstarsze miało cztery miesiące. Wszystkie były szczęśliwe i radosne. Wszystkie mamy były spocone i wypompowane.

- Uwaga. Zrelaksowane dzieci relaksują swoje mamy... A im więcej będziecie dotykać wasze dzieci, tym będą one szczęśliwsze. Dzisiaj przećwiczmy cztery rodzaje masażu. Po kolei...

Zwykle krążyła podczas zajęć po pokoju i każdemu dziecku poświęcała trochę czasu. Tak samo chciała czynić tego ranka. Ale już przy drugim ćwiczeniu zerwała się na równe nogi i wybiegła.

- Hej - rzuciła.

- Hej - odparł Fox przez ramię. W samych tylko dżinsach, bez koszuli układał kamienie. Cały układ hydrauliczny był już skończony. Zostały mu prace murarskie. Naprawdę widać już było koniec.

Ale tym razem nie zwróciła na to uwagi. Jeszcze kilka tygodni wcześniej Fox za nic nie zdjąłby koszuli. Nie chciał, by ktokolwiek oglądał jego blizny.

Nie wyglądały ładnie, to prawda. Ale nigdzie nie było już otwartych ran. Nabrał też ciała. Mięśnie grały na jego szerokich ramionach. Znać było, że niegdyś nauczony był

ciężkiej pracy. Zauważyła też, że nie ogolił się tego dnia. Ciemne cienie na jego przystojnej twarzy...

- Skończyłaś już zajęcia?

Aż podskoczyła, zaskoczona.

- Nie, nie. Chciałam tylko zobaczyć, jak ci idzie. Naprawdę świetnie sobie radzisz!

- Najgorsze były te rury. Murowanie i całą tę brudną robotę powinienem skończyć do soboty. Przez niedzielę cement zastygnie, a od przyszłego tygodnia będziesz mogła wpuszczać tu ludzi. Może tak być?

- Jak najbardziej. Powiadasz, że świetnie bawiłeś się w klubie Łosia, tak?

- Można tak powiedzieć. Wiesz, wydaje mi się, że powinnaś mieć tu inne sitko do prysznic. To daje zbyt silne strumienie.

- Dobrze.

- Chcesz, żebym je wymienił?

- Tak. Co tylko uważasz. Zwrócę wszystkie koszty. Tak... Jesteśmy umówieni na poniedziałek, prawda?

- Tak. Ale jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym ci coś zaproponować.

- Oczywiście. Co?

- Stale nalegasz, żebym częściej wychodził z domu, przebywał na świeżym powietrzu... Jest coś, co chciałbym zrobić... jeśli ci to nie przeszkadza?

- Nie, nie. Ani trochę. Mogę ćwiczyć z tobą prawie wszędzie. Zatem... - Odchrząknęła. - Cokolwiek robiłeś z Łosiem, chciałbyś zrobić jeszcze raz?

Podniósł głowę.

- Słyszałem chyba płacz dziecka. Twój uczeń zastanawia się pewnie, dokąd sobie poszłaś.

Ona też słyszała płacz. Lecz wciąż stała, niezdeterminowana.

Niespodziewanie Fergus westchnął ciężko. Podniósł się z klęczek i wolnym krokiem podszedł do niej. Cały pokryty był cementowym pyłem. Stał tuż przy niej. Ale nie dotknął jej. Na szczęście, bo musiała jednak wrócić do dzieci. No i miała na sobie bielusińskie ubranie.

Stał jednak wystarczająco blisko, żeby mogła dostrzec ponure błyski w jego oczach. Jego spojrzenie hipnotyzowało ją. Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Myślę, Rudzielcu - powiedział cicho - że to bardzo ładnie z twojej strony, że chciałaś umówić mnie z inną kobietą. Nikt przedtem tego nie próbował.

Powinna była odezwać się, powiedzieć coś. Lecz on się zbliżył. Nie dotknął jej. Tylko musnął delikatnie ustami jej usta. Nie był to nawet pocałunek. Co najwyżej zapowiedź... obietnica.

- Chcesz wiedzieć, czy pocałowałem ją? - mruknął.

- Nie.

- Chcesz wiedzieć, czy rozważałem...

- Nie!

- Bo jeśli zapytasz, odpowiem ci. Będę z tobą szczery. Całkowicie. Tak jak ty będziesz szczera ze mną, prawda, Rudzielcu?

- Tak. Oczywiście, że będę - wydusiła. Pod wpływem

jego głosu, jego spojrzenia, nie mogła zebrać myśli. Zde-nerwowanie ścisnęło jej gardło. - Muszę wracać do moich pacjentów.

- Wiem.

- Porozmawiamy później.

- O tak - mruknął. - Wiem, że dzisiaj pracujesz. Ale koniecznie musimy porozmawiać. I to jak najszybciej.

Z ciężkim sercem wróciła do pracy. Przekonała się, że Fergus miał także paskudną, ciemną stronę.

Rozmawiał z nią, jakby byli kochankami. Co, w istocie, było prawdą. Jednak stało się właśnie to, że emocjonalnie zatrzasnęła drzwi przed nadzieją na jakikolwiek długotrwały związek. Miała nadzieję, co prawda, że sprawy potoczą się inaczej. Jednak kiedy powiedział, że jest „seksowna”, poczuła, jakby jej serce z hukiem wpadło w bezdenną czeluść.

Pragnął jej, co do tego nie miała wątpliwości. Ale seks, choćby najwspanialszy, w najmniejszym stopniu nie oznaczał, że Fox darzył ją szacunkiem.

Nic się nie zmieniło. Nadal gorąco pragnęła uleczyć Foksa. Chciała stać się kimś znaczącym w jego życiu. Marzyła, by dzień po dniu, tydzień po tygodniu mogła obserwować efekty swojej pracy. Już widać było niezwykłą poprawę. I to ona odegrała w tym niebagatel-  
ną rolę.

I to było najważniejsze. Uleczyć go. Jej pragnienia się nie liczyły.

Energicznie weszła do salonu.



- Cholera! - rzuciła. - Musimy się zrelaksować!

Wszystkie mamy popatrzyły na nią jakby oszalała. Potem któraś parsknęła śmiechem. Phoebe też usiłowała się roześmiać.

scandalous

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy Fox zajechał przed dom, Phoebe musiała stoczyć długą walkę z psami.

- Wiem, że to Fox - tłumaczyła. - Ale nie możecie pojechać z nami. To nie jest moja furgonetka. Poza tym pada deszcz. Przecież wiecie, że nie zostawię was tu na długo. No, bądźcie rozsądne.

Psy wysłuchały jej uważnie. Wiedziały też, że mają w drzwiach otwór, którym zawsze mogą wyjść do ogródka. Miały także pod dostatkiem wody i jedzenia. Po prostu nie chciały, żeby Phoebe pojechała. I chciały też być z Foksem.

Ona też. I w tym tkwił problem. Włożyła kaptur i wyszła z domu. Bure chmury sunęły nisko nad ziemią. Choć była dopiero czwarta po południu, było już całkiem ciemno. Zimny wiatr uderzał raz po raz.

Kiedy wpadła do furgonetki, błyskawica przecięła niebo.

- Właśnie wychodziłem po ciebie...

- To by było bez sensu. W ten sposób zmoklibyśmy oboje. - Rzuciła płaszcz przeciwdeszczowy do tyłu. - Nadal nie powiedziałeś mi, dokąd jedziemy.

Zerknęła na Foksa. I szybko odwróciła wzrok. Starła się utrzymać emocjonalny dystans. Żeby nie ulec jego hipnotycznemu urokowi.

- Nie usiłuję być tajemniczy. Chcę tylko pokazać ci pewne miejsce. Gdybym powiedział ci o nim wcześniej, mogłoby to wpłynąć na twoją reakcję. A ja chciałbym poznać twoją prawdziwą opinię. To nie będzie długa podróż, obiecuję.

- Nie mogę wyjść z podziwu, jak wielką pracę wykonałeś przy fontannie podczas tego weekendu.

- Mam nadzieję skończyć wszystko przed końcem tygodnia.

Liczyła się z tym. Jak też i z tym, że zaraz potem Fox zerwie ich znajomość. Choćby dlatego, że jego kuracja zbliżała się do końca. Phoebe miała w zanadru jeszcze jedno poważne ćwiczenie. Ale i bez tego widziała, że był na dobrej drodze. Może nie był jeszcze bardzo silny, ale wyraźnie się poprawił. Nabrał sił. Poruszał się z wigorem i energią.

Już jej nie potrzebował.

- Nie mówiłeś o bólu głowy już ponad tydzień. Sypiasz lepiej?

Zerknął na nią z ukosa.

- A może porozmawiamy o tym, jak ty sypiasz?

- Proszę bardzo. Nie spytam o twoje zdrowie przez dwie godziny, zgoda?

- Zgoda. Trzymam cię za słowo. - Popatrzył za okno,

- Psiakrew! Naprawdę chciałbym, żebyś obejrzała tamto miejsce. Może deszcz przestanie padać?

Kiedy krowy będą latać, pomyślała. Jechali mokrą szosą w stronę wzgórz. Stopniowo coraz wyżej.

Powiedział prawdę. Droga nie była daleka. W pewnym momencie skręcił w żwirową dróżkę prowadzącą... donikąd. Po chwili zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Przed nimi rozciągała się wielka, ukwiecona łąka, opadająca łagodnie w stronę rozlewiska rzeki.

- Co o tym myślisz?

Popatrzyła nań zdziwiona, niepewna co powiedzieć. Uroczy zakątek natychmiast skojarzył się jej z bezpiecznym rajem, który opisał w ich pierwszym ćwiczeniu. Ale za nic nie mogła pojąć, po co miałyby zawozić ją tam.

- Pięknie - powiedziała.

Właściwie nie wyglądał na zawiedzionego, ale coś zmieniło się w jego zachowaniu. Napiął mięśnie. Skupił wzrok.

- Owszem, jest ładnie. Ale powiedz, co widzisz? Spróbuj wyobrazić sobie, że nie pada. Świeci słońce. Rozjaśnia wodę i góry w oddali.

- Uważam, że tu jest ślicznie i w deszczu. W słońcu musi być po prostu pięknie. - Mówiła szczerze. Ale czuła, że oczekiwał czegoś innego.

Odchylił się na oparcie, zapatrzył przed siebie.

- Myślałem o przeprowadzce. Nie mam nic przeciw mamie, ale... Chciałbym, po prostu, być na swoim. Daw-

niej wynajmowałem mieszkanie. Tak było prościej. Ale te raz... Myśl o własnym domu jest mi coraz bliższa.

Przyglądała się mu uważnie, ale nie potrafiła odczytać jego uczuć.

- Widzę, że dojrzałeś do poważnych decyzji.

- Może nie dzieje się to błyskawicznie, ale owszem można tak powiedzieć. - Zawahał się, jakby czekał na jego komentarz.

Zawsze miała swoje zdanie i nie bała się wypowiadać go głośno. Ale tym razem było inaczej. Chociaż oboje unikali tego tematu, wisiły między nimi wspólne noce.

- Nie staram się sprowokować cię, żebyś powiedziała coś, czego chciałbym usłyszeć - powiedział w końcu. - Ale ja bardzo poważnie myślę o wybudowaniu domu. Właśnie tutaj kupiłem niedawno tę ziemię. Co myślisz o tym miejscu?

- Jest piękne. - Znów to słowo.

- Tu będzie kuchnia - zatoczył ręką. - Z oknami na wschód. Z dużymi szklanymi drzwiami na werandę. Żeby można było usiąść na zewnątrz, zjeść grejpfruta, wypić poranną kawę. - Zaczekał. Bez powodzenia. - Dalej wyobrażam sobie ośmiokątny pokój ze szklanymi ścianami... Wielki pokój z widokiem na góry i rzekę. Słońce może dać się we znaki, ale zaradzimy temu, stosując specjalne szyby. Sypialnia niech będzie na piętrze. Od strony północnej będzie tylko ściana. Okna zrobimy na wschód i na zachód. Tak, żeby można było oglądać i wschody, i zachody słońca.

Zamilkł znowu.

- To brzmi wspaniale, Fergusie - powiedziała. - Cudowny plan.

- Potrafisz wyobrazić sobie ten dom?

- Oczywiście.

- Potrafisz wyobrazić sobie życie w nim?

Ściągnęła brwi.

- No pewnie. Kto by nie potrafił? Tylko nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, żebyś mieszkał sam na takim odludziu.

- Masz rację. Nie chcę więcej żyć samotnie.

Umilkł ostatecznie. Przeczesał palcami włosy. Na chwilę mocno zacisnął powieki.

- Psiakrew! - wymamrotała. - Wiedziałam, że coś jest nie tak. Zaczyna boleć cię głowa, prawda?

- Nie, to nie to. Ja tylko... - Otwarł oczy. - Phoebe, ja...

- Nie - przerwała mu. - Przecież widzę, że cierpisz.

Nic nie mów. Odwróć się. Twarzą do okna.

- Nic nie rozumiesz. Ja chciałem...

- Nic nie mów! Ja się tym zajmę! - Aż kipiała energią. Dobrze wiedziała, co należało robić, kiedy cierpiał. - Pochyl się! Przygotowałam dla ciebie jeszcze jedno ćwiczenie. Tak jak było za pierwszym razem, to także będziesz mógł wykonać, kiedy tylko poczujesz nadchodzący ból...

Pochylił się posłusznie. A ona klęknęła za nim. W samochodzie było to trochę trudne. Na szczęście miał na sobie luźny sweter. Odsunęła go bez trudu. Kiedy poczuła pod palcami ciepło jego skóry, zacisnęła powieki. Nie

miała olejków, świec zapachowych ani gorącej wody. Ale miała wprawne ręce. Serce pełne miłości.

- Dobrze - szepnęła. - To ćwiczenie nazywa się tęczowe. Chciałabym, żebyś wyobraził sobie, że stoisz u wlotu olbrzymiego tunelu, całego w kolorze...

- Żarty sobie ze mnie stroisz, prawda?

Ból głowy to nie żarty.

- Po prostu rób, co mówię, dobrze?

- Dobrze - powiedział z rezygnacją.

- Świetnie. Zamknij więc oczy i wyobraź sobie tęczyowy tunel. Tak jak w prawdziwej tęczy, na początku jest czerwony. Robisz krok do środka. Wszystko wokół jest czerwone. Spróbuj teraz poczuć tę czerwień. Jej zapach, jej smak i dotyk. Jest w tym kolorze olbrzymia energia, prawda? Namietność. Gniew. Wielkie emocje...

- Powoli idziemy dalej w głąb tej tęczy - ciągnęła. - Przechodzimy z czerwieni do pomarańczowego. Czujesz, jaki jasny i radosny jest pomarańczowy? Dochodzimy do żółtego. Gorący, uzdrawiający, słoneczny... Czujesz, jak oblewa cię? Zanurzasz się w żółtym. Pograżasz się od stóp do głowy...

Mówiąc, masowała mu głowę, kark i ramiona. Łagodnymi, powolnymi ruchami. Z uczuciem. Czuła, jak ustępowało z wolna napięcie jego mięśni. Jak rozluźniały się mu ramiona.

- Zielony jest piękny, prawda? Prawie czujesz wszystkie zielone rzeczy... trawę i liście. Równie pełen życia jest szmaragdowy. W końcu dochodzimy do niebieskiego. Głęboko

granatowego... Ale nie ciemnego. Kolor jest czysty. Uspokajający. W niebieskim nie ma napięcia. Nie ma lęków, obaw. Nie ma strachu. Czujesz niebieski, Foksie?

- Tak. Czuję twój cholerny niebieski, Rudzielcu.

Uśmiechnęła się. Cofnęła ręce.

- Dobrze... O to chodziło. Jak ból głowy?

Wyprostował się powoli. Powoli obrócił się do niej. Wciąż klęczała. Chciała zobaczyć jego twarz. Przekonać się, czy ból ustąpił. Napięcie, które zobaczyła w jego oczach zaskoczyło ją.

- Co on ci zrobił, Phoebe?

- Słucham?

- Tamten gość. Ten idiota, z którym byłaś zaręczona. Co on ci zrobił? I nie próbuj zwodzić mnie, oszukiwać. Obiecałaś, że spróbujesz być ze mną tak szczerą, jak ja byłem z tobą. Obiecałaś spróbować. A ja ci opowiedziałem, co mi się przydarzyło.

Ogarnęło ją zwątpienie.

- Nie pomogłam nic na twój ból głowy? Ćwiczenie nie podziałało?

- Rudzielcu, pomagasz mi, odkąd tylko się poznaliśmy. Może teraz na mnie kolej?

- Na co?

- Żebym to ja wyleczył ciebie - powiedział łagodnie. A potem rzucił z pasją: - Co ten drań ci zrobił?

Otworzyła drzwi. Powinna była wziąć płaszcz, ale w ogóle o tym nie pomyślała. Deszcz natychmiast przemoczył ją całą.



Zanim się zorientowała, Fox był już przy niej. Nie mówił nic. Szedł tylko krok w krok z nią. Mokry jak i ona.

- Niech cię diabli, Fox! Tego nie da się wyjaśnić. Nie mężczyźnie.

- No to zapomnij, że jestem mężczyzną. Potraktuj mnie jak przyjaciela.

- Traktuję cię jak przyjaciela! Ale za nic nie zdołam zapomnieć, że jesteś mężczyzną. Żadna kobieta nie dałaby rady.

- Hm. Właściwie nie wiem, czy to komplement, czy zniewaga.

- Po prostu stwierdzam fakt.

- Znajdź jakiś sposób, spróbuj mi powiedzieć - powiedział cicho.

Jakby to było takie proste. A do tego ten deszcz. Miała buty i włosy pełne wody.

Poza tym nie wiedziała, od czego zacząć.

- Kiedy byłam w liceum... Umawiałam się z wieloma chłopcami. Zawsze się dobrze bawiłam. Ale zawsze cofałam się, kiedy sprawy szły zbyt daleko. Chciałam zachować to dla tego jedyne. Dziewczyny w liceum zawsze wierzą, że jest gdzieś na świecie ten jeden, jedyny. Przynajmniej niektóre...

- Tak.

- Mniejsza z tym. W tym właśnie był problem. Że czekałam. I że uważałam, że Alan jest tym Jednym Jedynym. Dlatego gdy zaręczyliśmy się...

- Oddałaś mu się - rzucił niecierpliwie. - A on cię zranił?

- Nie.

- Przestraszył cię jakoś?

- Nie. Nic takiego. Było cudownie.

-...?

Obróciła się twarzą do niego. Była wściekła.

- Jeśli rozchorujesz się przez tę przechadzkę ze mną, to się zastrzelę.

- Pogrózkę zrozumiałem. Mów dalej.

Uniosła ręce w geście bezradności.

- W tym właśnie problem. Że było cudownie. Początkowo nie rozumiałam tego. Zaręczyliśmy się. Czemu miałbyś czuć się nieszczęśliwy, jeśli wszystko było cudowne? Po pierwszej nocy zaczął odsuwać się ode mnie.

Nagle na ścieżce przed nimi stanął dziki królik. Popatrzył na nich i zniknął w mroku.

- Myślę, że mógłbyś powiedzieć, że stałam się bardziej śmiała. A ja byłam... ślepa. Cała ta strona życia wydawała mi się... wspaniała. Naturalna. Cudowna. No i wierzyłam, że kocham go. I że nic takiego, że chciałam myśleć o tym, mówić i próbować.

- I?

- Zaczął traktować mnie coraz chłodniej.

- Co takiego?

- Słyszałeś.

- Nie do wiary!

Westchnęła ciężko.

- Nie mogę powiedzieć, że oboje chcieliśmy zerwać zaręczyny. .. Ale prawda była taka, że on chciał. Co nie znaczy, że nie chciał sypiać ze mną. Ale ilekroć zaczynałam snuć plany o małżeństwie, natychmiast przerywał mi. Im lepiej było nam w łóżku, tym mniej mi ufał. Wszystko jedno, co powiedziałam albo tylko spróbowałam powiedzieć, zawsze w końcu wychodziło, że jestem brudna. Niemoralna.

- Obawiam się, że będziesz musiała opowiedzieć mi to jeszcze raz. Bo coś musiało stać się z moim słuchem. Coś złego. No nie mogę wprost słuchać tego, co mówisz.

- Wiem, że starasz się być zabawny. I w jakimś sensie, jesteś. Ale takie podwójne standardy to nic nowego na tej ziemi. Zawsze tak było. Od początku świata. Nawet nie winię go. Po prostu już taki jest. Być może większość kobiet i mężczyzn jest właśnie taka. Kobiety, które są... seksowne. .. muszą być niemoralne.

- Co za bzdura!

- „Takiej” kobiecie nie można zaufać. Jeśli jest wspaniałą kochanką, nie może być wierną żoną. Wiem, wiem. Głośno nikt tego nie mówi. Alan też nigdy tego nie powiedział. Ale tak właśnie uważał. Z biegiem czasu coraz bardziej. Im więcej spaliśmy ze sobą, tym bardziej odsuwał się ode mnie, tym mniej mi ufał. Psiakrew! Wracajmy do samochodu i schowajmy się przed tym idiotycznym deszczem, zanim oboje umrzemy na zapalenie płuc.

- Zaczekaj chwileczkę... - Chwycił ją za ramię.

Spojrzała mu w twarz i pokręciła głową.

- Naprawdę nie chcę już więcej o tym rozmawiać.

Wiem, co powiesz. Że to wszystko nie jest tak. Że on był wstrętnym typem. Że faceci, oczywiście, szukają gorących kobiet. Oj, daj spokój, przecież nie jesteśmy dziećmi.

- Może nie chciałem powiedzieć niczego takiego.

- Ależ owszem, chciałeś. - Zapragnęła pocałować go. Nawet więcej. Ale o tym wolała nie myśleć. - Nie potrzebuję takiego wytłumaczenia, Foksie. Staralam się tylko opowiedzieć ci, co się stało. Jak się czułam. Jak to na mnie podziało.

- Wyprowadziłaś się. Zamiast poddać się terapii. Skupiłaś się na pracy z dziećmi. Rozumiem - dodał po chwili - że musi chwilę potrwać, zanim zapomnisz o nim. Ale już dosyć. Nie uwierzę, że mogłaś nie wiedzieć, że ja jestem inny. Żebyś malowała mnie tymi samymi barwami co tego łajdaka.

- Nie chodzi o malowanie tymi samymi barwami. - Wiedziała, że tego nie da się wytłumaczyć. Nawet Foksowi. Zwłaszcza Foksowi. - Chodzi o to, że... to ja czuję się inaczej. Dorastałam w przeświadczeniu, że zmysłowość jest zaletą. A on... zburzył to.

- Pozwoliłaś mu na to.

- Przestań. To nieuczciwe. Wbijać komuś nóż w najsłabsze miejsce to... Och, do diabła! Przecież sam wiesz, jak to jest, kiedy ci się życie przewraca do góry nogami.

Fergus dotknął jej policzka.

- Wiem - szepnął.

Brzmienie jego głosu... słowa... zaskoczyły ją. Zrozumiała, że doskonale wiedział, o czym mówiła. Wiedział.

Sam przeżył potworny wstrząs, gdyż został zaatakowany przez dziecko. Całe swoje życie poświęcił dzieciom. Starał się być dla nich przykładem. I gdy dziecko zdradziło go, miał wrażenie, że to on je zdradził. Dostrzegła podobieństwo. Bowiem gdy zdradziła ją najskrytsza cześć jej natury, stała się sama dla siebie największym wrogiem.

Fox przyglądał się jej uważnie. Nasiąknięty wodą sweter zwisał mu ciężko z ramion. Mokre włosy oblepiały czoło.

- Chcesz to tak zostawić, Rudzielcu? Możesz zrobić to, co ja. Poddałem się. Zrezygnowałem z nauczania. Z życia.

- Ja nigdy nie zrezygnowałam z seksu. Kochałam się przecież z tobą, prawda?

- To prawda. Było to fascynujące przeżycie. Zważywszy, że zajęłaś się życiowym bankrutem. Bez pracy. Bez przyszłości. Użalającym się nad sobą. Kryjącym się w ciemnościach. Dlaczego, u diabła, spałaś ze mną?

- To zupełnie inna sprawa. Ty nigdy nie byłeś przegrany. Nie ponosisz winy za to, co ci się przytrafiło. Nawet, jeśli uważasz inaczej. Zostałeś po prostu... zraniony. Potrzebowałeś tylko czasu, żeby wyzdrowieć.

- Może to prawda... ale nie mogłaś tego wiedzieć. Dałaś mi szansę. Podjęłaś wielkie ryzyko. A teraz... Chcesz, tak po prostu, odejść?

Skrzywiła się, wyraźnie zawstydzona.

- Nigdy tego nie powiedziałam - bąknęła.

- Chciałbym, żebyś przemyślała to wszystko. Bo ja nie zamierzam zniknąć, Rudzielcu... dopóki sama nie

każesz mi odejść. Nie zamierzam już kryć się w ciemnościach. I chciałbym wiedzieć na pewno, czego ode mnie oczekujesz.

Zabrzmiało to jak ultimatum. Nie groźba, ale żądanie jasnej deklaracji. Na jaką ona sama czekała już od tygodni.

- Nie potrafię, Fox! Nic nie rozumiesz!

- Ach tak - mruknął. - Rozumiem.

Odwrócił się i odszedł do samochodu.

scandalous

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Fox stał przy piekarniku w kuchni swojej matki.

- Nie. Usiądź. - Wycelował w nią palec. - Nie będziesz mi pomagać. Masz siedzieć tam, popijać wino i pozwolić mi pracować.

- Traktujesz mnie jak psa - poskarżyła się Georgia. - Usiądź. Zostań. Jak ty odzywasz się do matki?

- Siadaj! - zawołał, kiedy znowu próbowała wstać. - Dzisiaj moja kolej gotowania, nie pamiętasz? Sama chciałaś odbyć to ćwiczenie. Powiedziałaś to Phoebe. A to oznacza, że ty masz siedzieć z boku, a ja przygotuję obiad. Taka była umowa.

- Coś złego dzieje się z tobą ostatnio - powiedziała Georgia ponuro. - Kiedy byłeś chory, mogłam przynajmniej zatroszczyć się o ciebie. Nie byłeś posłuszny, ale przynajmniej nie odzywałeś się do mnie tak okropnie.

- Myślę, że zawsze odzywaliśmy się do ciebie okropnie, mamo.

Nim zdążył ją powstrzymać, podeszła do niego i usiłowała zajrzeć mu przez ramię.

- To nie bardzo przypomina boeuf Strogonoff.

- Masz rację.

- Kupiłam wszystko, co potrzebne do zrobienia twoich ulubionych potraw. Boeuf Strogonoff. Ciasto jagodowe. Sałatka...

- Usiądź!

Odeszła, mrużąc pod nosem jakieś groźby czy przekleństwa. Z kąta kuchni wciąż przyglądała mu się podejrzliwie.

- Co się dzieje? - spytała z troską w głosie. Z matczyną troską.

Fox zostawił na chwilę piecyk i przygotował stół. Jemu przynajmniej tak się wydawało. Wyjął z szuflady garść noży i widelców, postawił na stole kilka talerzy, a na środek rzucił garść serwetek.

- Fergusie Lockwood, odpowiedz na moje pytanie - powiedziała twardo mama.

- To się dzieje, że to będzie ostatni posiłek, który będziesz musiała zjeść, ryzykując zdrowie albo życie. Kończąc zwariowaną kurację Phoebe.

- Ta kuracja podoba się wszystkim. Całej rodzinie. Dzięki niej wszyscy poczuliśmy, że zrobiliśmy coś dla ciebie, zamiast siedzieć w kącie i przyglądać się, jak cierpisz. To było okropne.

- No cóż, nie zamierzam przyznać tego głośno... zwłaszcza przed Phoebe... ale mnie też bardzo spodobał się ten program. Co mogę powiedzieć? Mam wspaniałą rodzinę. Ale już nie potrzebuję pomocy. Naprawdę. Najwyższy czas, żebym wyprowadził się z kawalerskiego domu.



- Dlaczego? - zawołała. - Uwielbiam, kiedy mam cię tak blisko! Dom stoi pusty. Nie ma powodu...

- Wiem. Chciałabyś mieć nas wszystkich blisko siebie. I jesteśmy blisko. Ale muszę znowu zacząć żyć własnym życiem. Znasz tę posiadłość na Górze Sprucea? Chcę pobudować tam dom.

- Och. To nie tak daleko. - Z wyrazem ulgi na twarzy Georgia wypita łyżeczek wina. - Fergusie, nóż kładzie się po prawej stronie talerza, nie po lewej. To jest bardzo piękny kawałek ziemi. I leży w naszym okręgu szkolnym... gdybyś kiedyś chciał mieć dzieci... Cisza i spokój.

Gestem zaprosił ją do stołu i zaczął serwować potrawy.

- Tak więc, mam plan. Jeszcze nikomu go nie zdradzi-,  
łem. W ciągu roku chcę zbudować dom. A od następnej jesieni zamierzam wrócić do szkoły.

- Nie w tym roku?

- Nie. W tym roku chcę poprowadzić drużynę baseballową. Wciąż będę pracował z dziećmi. Z krawędziakami. - Krawędziakami nazywał dzieci, które znalazły się na krawędzi. Między dobrem i złem. Które mogły wyjść na ludzi albo stoczyć się na samo dno. - Rozmawiałem już z Morganem. Dwa dni temu. Wszystko już umówiliśmy.

- Naprawdę ostro wracasz do życia - powiedziała cicho mama. Z uwagą popatrzyła na postawione przed nią dania. - Foksie, od kiedy to są twoje ulubione potrawy? Co to w ogóle jest?

- Kurczak w ziołach.

- A to... wygląda na pieczone ziemniaki.

- Tak. A na deser lody z owocami i czekoladą. Jeśli chcesz, możesz dostać deser już teraz. Nie będę miał nic przeciw temu, jeśli od niego zaczniesz.

Mama podniosła widelec. Opuściła. Popatrzyła nań uważnie.

- Co? - spytał.

- To Phoebe, prawda?

To nie było pytanie. Dobrze wiedziała, co mówi. Dlatego nawet nie próbował kręcić.

- Tak, to Phoebe - powiedział cicho. - Ale nie zacznij robić sobie nadziei na wnuki. Bo prawda jest taka, że... Myślę, że ją straciłem.

- Och! Fox, ty...

- Nie - zaprotestował stanowczo. - Skoro chcesz poznać mój sekret, powiem ci. Kocham ją. Absolutnie. Całkowicie. Tylko o niej myślę. Tylko z nią potrafię wyobrazić sobie swoją przyszłość. Ale ona tak nie myśli. I tylko tyle powiem. A ten obiad jest po to, żebym mógł być z tobą. Chciałbym posłuchać, co nowego w twoim klubie brydżowym. Co słyhać u sąsiadów. Jak tam twój artretyzm?

- Ale, Foksie, ja.

- Umawiamy się. Jeśli będziesz zadawać pytania, nie dostaniesz deseru. To sprawa między nią a mną - dodał po chwili. - Tylko między nami.

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Wciąż miał przed oczami tamtą rozmowę. Nawet nie mrugnęła, kiedy wspomniał o budowie domu dla nich dwojga. Nie dała

nawet cienia znaku, że mogłaby chcieć budować ten dom razem z nim.

Fox nie widział wyjścia z sytuacji. Jeśli będzie chciał przespać się z nią, pomyśli, że chodzi mu tylko o seks. Jeżeli nie będzie próbował, uzna, że przestał jej pragnąć. Ten drań, jej były narzeczony, skrzywdził ją tak, że Fox z trudem hamował wściekłość. Chciał, żeby Phoebe zrozumiała, jak bardzo ją szanuje. Przecież pokazał jej to wyraźnie. Odślonił przed nią wszystkie swoje słabości. Lecz największym problemem Phoebe była ona sama. Tamten łobuz sprawił, że straciła szacunek dla siebie. A on nie umiał nic na to poradzić.

Popatrzył na kurczaka na talerzu, na smakowite ziemniaki. .. Którym jeszcze żaden mężczyzna się nie oparł. I zaczął jeść.

Była jeszcze jedna okazja, by mógł zobaczyć się z nią. .. Ale wątpił, czy taki pechowiec jak on ma jakiegokolwiek szanse. Stracił ją bezpowrotnie.

Wiedział to na pewno.

Wyczerpana i zziębnięta Phoebe otworzyła drzwi furgonetki. Psy wskoczyły do środka i odwróciły się do niej tyłem.

- Dajcie spokój! Każdy musi od czasu do czasu dostać zastrzyk. Weterynarz was uwielbia. Pielęgniarka was uwielbia. A wy zachowywałyście się, jakby was torturowali. Będzie im przykro. Pomyślałyście o tym?

Psy nawet nie drgnęły, z nosami przy szybie.

Dobrze, że to sobota, pomyślała. Była zmęczona. Nie miała ochoty do pracy. Nie miała ochoty oglądać ludzi. Nie miała ochoty na nic.

Zaraz po przyjeździe do domu zamknie dom na klucz i pójdzie z psami na długi spacer.

Zatrzymała się przy skrzynce na listy. Przeglądała koperty, gdy kątem oka dostrzegła, że na jej podjeździe stoi samochód. Biały.

Auto Foksa.

Psy też je zauważyły. Natychmiast zaczęły wiercić się, piskiwać, kręcić ogonami.

Właściwie nie powinna dziwić jej jego obecność. Przecież sama dała mu klucze. Na pewno przyjechał pracować przy fontannie. Zawsze starał się robić to wtedy, kiedy nie miała klientów.

Ale tego dnia nie spodziewała się go. Nie dał znaku życia od czasu tamtej rozmowy w deszczu.

Wiedziała, że to jej wina. I nie było jej z tym lekko. Ale przecież powiedziała mu prawdę. Nie mogła zapomnieć o tym, co zrobił jej Alan. Nie potrafiła. Wierzyła, że musi być z Foksem szczerą... Dopóki nie dotarła do domu, weszła pod prysznic i się rozpłakała.

Może powiedziała mu prawdę. Ale nagle zrozumiała, co powiedział jej tam, na wzgórzu. O budowaniu domu. Z werandą przy kuchni, na której każdego ranka można jeść grejfruta...

Grejfrut. Jej ulubiony owoc, nie jego. Mówił o życiu w tym domu z nią! Dla niej chciał zbudować ten dom.

I wtedy, za sprawą tego grejpfruta zrozumiała, że Fox myślał o niej bardzo poważnie. Nie jak o kochance, ale jak o żonie.

Głęboko nabrała powietrza w płuca. Sądząc z radosnego ujadania, psy odnalazły już Foksa. Gdzieś w głębi domu. Zdjęła kurtkę, położyła listy i torebkę na kuchennym stole i zdjęła buty. Zastanawiała się gorączkowo, jak się z nim przywitać.

Żadna złota myśl nie wpadła jej do głowy. Otrząsnęła się, odetchnęła głęboko i weszła do pokoju zabiegowego... I zastygła bez ruchu.

Kaskada była skończona. Tak przynajmniej wyglądała.

Fox wesoło tarmosił psy. W kącie piętrzyła się sterta śmieci i odpadków. Najwidoczniej zaczął właśnie sprzątać.

Ale fontanna zapierała dech w piersiach. Ziściło się jej marzenie. Cała ściana wyłożona była kamieniami rzeczonymi. Od ściany w dół kamienne stopnie. Jak kaskady strumienia. Woda, początkowo płytka, w basenie pod wodospadem stawała się głęboka. Wysoko nad głową duże okna pokazywały niebo. Można było leżeć w basenie i po dziwić słońce lub gwiazdy. W dnie basenu zamontowane były lampy. A po bokach przygotowane były miejsca do zasadzenia roślin.

- Och, Fox - wyszeptała. - To jest doskonałe.

Słyszając jej głos, poderwał się na równe nogi.

- Przyszłaś we właściwym momencie.

- Właściwym na co? Ach, no tak. Żeby pomóc ci sprzątać...

- Nie. To może poczekać. Potrzebna mi jest ofiara, królik doświadczalny. Frajer, mówiąc po prostu. Wodospad już gotowy. Trzeba go przetestować. Wiem, że działa. Ale chcę mieć pewność, że wszystko jest tak, jak powinno być... Wysokość spływu wody, jej ciśnienie i temperatura i tak dalej. Mam nadzieję, co daj Boże, że nie będzie już trzeba nic przerabiać. Ale chciałbym sprawdzić wszystkie szczegóły.

- Oczywiście. Co mam zrobić?

- Użyj tego. Rób to, co będziesz robić zawsze. Zamknij odpływ. Otwórz. Napełnij basen tak, jak będziesz robiła to z klientem. Sprawdź, czy wszystko jest tak, jak oczekiwałeś. Wtedy będziemy pewni, że robota skończona. Ja tymczasem posprzątam.

Coś w niej zamarło. W jednej sekundzie zrozumiała, że ma jeszcze wybór. Jeden. Ostatni.

Fox zabrał się do sprzątnięcia. Psy nie odstępowały go ani na krok. Nie patrząc na nią, mówił:

- Zwykle stosujesz przy pracy różne olejki, prawda? Teraz nie możesz tego robić. Przed wejściem do basenu klient musi wymyć się pod prysznicem. Inaczej zrobi się tu bardzo ślisko.

- Rozumiem - powiedziała, zdejmując koszulę. Zajęty pracą Fox, nawet na nią nie spojrzął.

- Zastanawiam się też, jak będziesz mogła pracować tu z małymi dziećmi. Bo to chyba chciałaś robić, prawda?

- To ma służyć wszystkim. Dorosłym i dzieciom. Wyobrażam sobie, że dzieci będą wchodzić tu razem ze swoimi mamami. - Zdjęła dzinsy i skarpetki.

- Tak właśnie myślałem. Trzeba będzie zrobić tu coś w rodzaju hamaka. Miękkiego i delikatnego. Omywanego przez wodę ze wszystkich stron. Oczywiście nie będziesz mogła zostawiać dziecka samego, ale to powinno ułatwić ci pracę. - Z łoskotem wrzucał narzędzia do metalowej skrzynki.

Ze ściśniętym żołądkiem zdjęła stanik, weszła do basenu i podeszła do kurków.

- To wygląda wspaniale - powiedziała. Odkręciła wodę. Zanim się zamoczyła, czekała, aż woda osiągnie właściwą temperaturę.

Nie była całkiem naga. Wciąż miała na sobie ulubione stringi... te granatowe, atlasowe, z czerwono-biało-niebiską flagą z przodu. Nie, na pewno nie była to bielizna wstydlivej panienki.

- Dobrze... Kiedy będziesz napełniać basen, zrobię kilka kursów do samochodu. Zabierze mi to kilka... - Odwrócił się. Zobaczył ją.

Upuścił łom. Upuścił młotek.

Korzystając z jego oszołomienia, weszła pod strumienie wody.

- Ciśnienie wody wyregulowałeś idealnie - powiedziała.

Upuścił całą cholerną skrzynkę z narzędziami.

Uniosła głowę, wystawiła twarz pod ciepłe strugi. Po chwili włosy opadły jej na plecy ciężkim pękiem. Zaciśnięta powieki. Starła się zapanować nad walącym sercem. I nad... przerażeniem.

Tak samo czuła się, kiedy była młodsza. Kiedy stojąc pod prysznicem, czuła budzące się zmysły. Kiedy marzyła o tym wybranym. O kochanku, przed którym otworzy swe serce i duszę.

Potem to minęło. Phoebe zwątpiła już, czy jeszcze kiedykolwiek wróci do niej to poczucie wolności. Ale jednego była pewna. Pragnęła żyć dla Foksa. Z Foksem. Z mężczyzną, którego kochała.

- Temperaturę też wyregulowałeś idealnie - zawołała. Przetarła oczy, uniosła powieki i... aż podskoczyła. Fox stał tuż przy niej.

Bardzo blisko. Jego oczy tuż przed jej oczami. Jego usta centymetry od jej ust. Nadal miał na sobie brudne ubranie. Zdjął jedynie buty. Cementowy pył spływał z niego szarymi strugami.

- Ludzie zwykle zdejmują ubranie przed wejściem pod prysznic - powiedziała.

- Nie drażnij się ze mną, Rudzielcu.

- Nie drażnię się z tobą.

- To, co zrobiłaś, jest doprawdy wyjątkowo bezczelne i sprośne. Rozebrałaś się przede mną. Stoisz naga przede mną.

- Tak, wiem - powiedziała.

- To może budzić w facecie podejrzenia. Złe podejrzenia. Takie, że... doskonale wiesz, jak powabne i piękne masz ciało. Takie, że... chcesz, żebym zauważył, jak powabne i piękne masz ciało...

-Fox?



- Słucham?

- To właśnie zaraz ci grozi. Spotkanie z kobietą bezczelną i sprośną. Która lubi się obnażać. Dla swego ukochanego. Tylko dla niego. Dla nikogo więcej.

- O! mam nadzieję - wyszeptał. Schylił się i pocałował ją. Gwałtownie i namiętnie.

Jej Fox, jej szalony, cudowny Fox kompletnie zapomniał, że ma na sobie ubranie. Ujął jej twarz w dłonie i całował, całował, całował...

Wciąż jeszcze była zdenerwowana i przestraszona. Ale już mniej. Na tyle mniej, że i ona mogła całować.

Całowała go zachłannie. Gwałtownie i gorąco. Na wszystkie znane jej sposoby.

- Phoebe? - Gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Słucham? - Ona też musiała odetchnąć głęboko.

- Toniemy

- To nie jest najpoważniejszy problem. Chcesz poznać ten naprawdę poważny?

- Tak, pewnie.

- Masz na sobie ubranie. I to jest ten poważny problem, który wymaga natychmiastowego rozwiązania.

- Pomogę ci - uśmiechnął się szelmowsko. Przypomniało się jej ich pierwsze spotkanie. Był wtedy tak żaloszny, smutny, wściekły i zagubiony. To nie jej wina, że jego uśmiech ośmielił ją, zachęcił do podjęcia trudnego zadania. Nie jest łatwo zdejmować z kogoś mokre ubranie.

Na szczęście Fox współpracował ochoczo. Każdy od-

pięty guzik u koszuli kwitował pocałunkiem. Równocześnie rozpinął pasek. I usiłował zdjąć spodnie.

Tymczasem woda w basenie sięgnęła już kolan. I nagle wszystko nabrało przyspieszenia. Mokre dżinsy trzymały się jak przyklejone. Nie dawały się ściągnąć. On próbował. Ona próbowała. Zderzyli się głowami. I oboje wylądowali w wodzie. Fox zwijał się ze śmiechu.

- Cholera! - krzyczał. - Potrzebuję pomocy!

- Nie widzisz, że się staram. - Ona też śmiała się do łez. I szarpała nogawki, próbując wygrać wojnę ze spodniami.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - zrzędził.

Ale ten śmiech i to zrzęczenie przypieczętowały jego los. Jej także. Ponieważ im bardziej mocowała się ze spodniami, im bardziej zanosili się od śmiechu, tym bardziej się kochali... I tym bardziej była pewna, że wszystko będzie dobrze. Że już zawsze będzie sobą. I że znalazła mężczyznę, przy którym będzie to możliwe.

Już się nie bała. Nie stało się to od razu, lecz powoli, krok po kroku. Sięgnęła do kurka, żeby zakręcić wodę i uchronić dom przed potopem. Niecierpliwy Fox dał jej na to zaledwie kilka sekund. I znów wyciągnął po nią rękę.

- Kocham cię, Rudzielcu. Nie tylko pragnę cię, ale kocham. Dziś i jutro.

- I ja cię kocham.

- Kochamy się. I możesz być pewna, że pokochamy także seks. Będzie dziki i gorący, przez długie lata.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. Bo ci ufam. - Uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały.

Spletli się w namiętym uścisku. Wpadające przez wielkie okna słońce migotało na ich wilgotniej skórze. Noc daje więcej intymności, pomyślała. Ale tym razem w świetle dnia mogła dokładnie zobaczyć, jak pragnęli siebie wzajem.

- Weź mnie - wyszeptała. - Mocno. Mocniej, mój kochany.

- Nie - szepnął. - To ty mnie weź.

Zwarli się, zapamiętali w pieszczotach. W uściskach, dotknięciach i pocałunkach. Gorących i namiętych. Wierowali w gorącej wodzie, niesieni kolejnymi falami namiętności. Dzwonek u drzwi dzwonił. Psy szczekały. Telefon dzwonił. A oni całowali się bez pamięci, pędzili we wspólnym rytmie.

Tak długo Phoebe nie czuła się pewna siebie. Nie jako osoba. Nie jako pracownik. Ale jako kobieta.

Fox nie zwrócił jej tej wiary. Ale dla niego znalazła w sobie dosyć siły, żeby stać się kobietą, jaką chciała być. Jaką mogła być. Dla mężczyzny, z którym chciała być.

Kiedy było już po wszystkim, opadli, dysząc ciężko, na dno. Gorąca woda kołysała ich łagodnie. Fox przytulił policzek do jej policzka.

- Czy zabijesz mnie, jeśli powiem, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem?

-Nie.

- A jeśli powiem, że jesteś najmądrzejszą, najbardziej pomysłową, najhojniejszą i najwspanialszą kobietą na świecie?

- Myślę, że i to jakoś przeżyję. - Westchnęła. Wiedziała, do czego zmierzał. Znała go dobrze. - No, dalej. Wszystko w porządku. Możesz to powiedzieć.

- Nie chcę cię wkurzyć. Szczególnie tuż po tym, gdy odbyliśmy tak poważną dyskusję.

- Nie wkurzysz mnie.

- Jesteś najbardziej seksowną kobietą we wszechświecie, Rudzielcu. Jesteś spełnieniem moich marzeń. Dzięki tobie jestem dumny, że jestem mężczyzną.

- Dobrze - zaczęła ostrzegawczo. - Powiedziałeś to i teraz...

Wyciągnęła rękę, by wymierzyć mu karę, na którą zasłużył. .. i zapracował. Lecz powstrzymał ją.

- Zaczekaj, zaczekaj. Naprawdę muszę najpierw zadać ci jedno ważne pytanie. Ale przedtem koniecznie muszę coś zobaczyć.

-Co?

Wziął ją za rękę, wyciągnął z wody i poprowadził na górę. Nie musiała zastanawiać się długo. Natychmiast domyśliła się, że chciał zobaczyć jej sypialnię.

W łazience na gorze się wytarli. Potem popędzili do łóżka i schowali się pod ciepłą kołdrę. Fox leżał na poduszce i ciekawie rozglądał się dookoła.

- Nie mogłem doczekać się, żeby to zobaczyć. Musia-

łem sprawdzić, jakiego koloru są tu ściany. Przy tyłu kolorach na dole... - pokręcił głową ze zdumienia.

- Kiedy sprowadziłam się tutaj, nie miałam pieniędzy na remont. Musiałam przede wszystkim przygotować pomieszczenia na parterze. Żebym mogła przyjmować klientów.

- Dlaczego tu wybrałaś kolor biały?

Popatrzyła dookoła.

- Wcale nie miałam na myśli bieli dziewiczej - wyznała. - Ani weselnej. Ale gdy przyjechałam tutaj, byłam trochę jak biała kartka. Próbowałam zacząć wszystko od początku.

Przysunął się do niej.

- Czy mogłabyś teraz zastanowić się nad datą naszego ślubu, Rudzielcu?

Jej serce najpierw zatrzymało się, a potem ruszyło jak oszalałe.

- Nie odmawiaj - poprosił. - Wysłuchaj mnie. Chcę wybudować dla nas ten dom. Dla nas... i dla naszych dzieci. Wiem, że nie mam pracy i raczej nie wydaję się być dobrą partią. Ale mam całkiem pokaźne oszczędności. A od następnej jesieni wracam do szkoły.

Pocałował ją. Miętko i delikatnie. W czoło i policzek.

- Cieszę się - szepnęła.

- Wiedziałaś, że wrócę do uczenia.

- Wiem, że uwielbiasz dzieci. Ale nie wiedziałam, czy spostrzegłeś, że wyzdrowiałeś.

- Nie spostrzegłem. Dopóki nie spotkałem ciebie. To

ty mnie wyleczyłaś, Phoebe. Ale naprawdę zacząłem cierpieć, kiedy zdałem sobie sprawę, że ty też zostałam zraniona. I, co gorsza, nie mam pojęcia jak cię wyleczyć.

- Fox.

- Słucham?

- Miłość leczy najlepiej. - Teraz ona pocałowała go. Potem znowu. I jeszcze raz. W ciepłe pod kołdrą zaczął odzyskiwać animusz. Oj, będzie z nim kłopot przez długie lata, pomyślała. - To miłość zawsze będzie nieść nam ulgę - szepnęła.

- Czy to znaczy...

- To znaczy, tak, kocham cię. Z całego serca.

- A czy to znaczy...

- Tak. Tak. Tak.

Przestał zadawać pytania. Wszystko było już jasne.